ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

ROK IX. Nr 12 (404)

LONDYN, 20 MARCA 1955 R.

PUNKTY WIDZENIA

W tym, co chcę tu napisać, z góry odrzucam wszelkie aktualne spory i problemy polityczne. Nie ma w tych uwagach żadnej aluzji do którejkolwiek ze stron, ani też opowiadania się przy tych czy przy tamtych. Interesuje mnie pewien zasadniczy problem który w naszej emigracyjnej sytuacji tkwi, i o nim tylko będzie tu mowa w oderwaniu od istniejącego sporu.

Nie trzeba ani jasnowidztwa, ani wyjątkowej przenikliwości, aby dostrzegać, że wszystkie polskie instytucje emigracyjne, polityczne i społeczne, wiotczeją i chorują na niedokrwistość. Nie jest to co prawda anemia złośliwa, galopująca, ale anemia uparta, która zwolna i systematycznie, miesiącami i latami podgryza zdrowy organizm polskiej emigracji politycznej. Wyszedłszy z jakiegoś zebrania, o którym mówiło się nam, że jest bardzo ważne, czujemy niedosyt i zgagę, czujemy grząskość rzeczy, które jeszcze do niedawna dawały twarde oparcie dla nóg uchodźczych.

Gdy ośmielimy się takie spostrzeżenie wypowiedzieć głośno, natychmiast pojawią się z różnych stron a najgłośniej ze strony agentów sowieckich różne mądre diagnozy, dowodzące, że ten tryb zdarzeń jest nieuchronny dla każdej emigracji. Jest to oczywista nieprawda. Były emigracje rozmaite. Były i takie, które się rozłaziły i parciały w ciągu lat kilkunastu, ale były i są takie, które przetrwały w świeżości, a swoim istnieniem przybliżały cel, dla jakiego w ogóle stały się emigracjami.

Uczucie grząskości i niedowładu przy wychodzeniu z naszych zebrań wcale bowiem nie świadczy o tym, że emigracja polska się kończy, zamiera i dogorywa na uwiąd starczy. Świadczy natomiast z całą pewnością o jednym: o tym mianowicie, że ta cząstka społeczeństwa polskiego, która znalazła się poza Krajem, weszła w swój punkt krytyczny i albo — rzeczywiście — uschnie, albo znajdzie wreszcie swoją właściwą drogę i stanie się naprawdę zastępem walczących o wolność.

Gdy się przyjrzeć naszym dziejom emigracyjnym z perspektywy dziś już prawie lat szesnastu, nie będzie ulegało dla nikogo wątpliwości, że cechą zasadniczą tych dziejów, a zarazem ich przekleństwem jest — prymat urzędniczości. Wywieźliśmy z Polski urzędniczy aparat państwowy i on to nadał charakter naszym pracom. Tak było w okresie wojny z Niemcami, tak jest — przykro powiedzieć — do dziś dnia. Skala się zmniejszyła, zmniejszyły się pieniądze, z salonów i gabinetów przeszliśmy na box-roomy, ale tryb urzędowania ciągle jest. Chcę być dobrze zrozumiany, nie mówię tu o symbolach, o pojęciu państwa, o ciągłości, wszystko to są inne rzeczy. Mówię tu tylko i jedynie o samej idei urzędniczenia, o koncepcji prowadzenia walki poprzez tryb urzędowania, przez papierki, przez tytuły ministrów i podsekretarzy stanu.

Gdy księgarz zakłada księgarnię, kupuje książki i szuka tych, których książki interesują. Gdy przemysłowiec chce produkować scyzoryki, kupuje surowiec, ustawia maszyny i dobiera fachowców. Wszyscy oni idą najprostszą, najkrótszą, najlogiczniejszą drogą od postawionego sobie celu do jego spełnienia. Ale gdy Polak chce walczyć o wolność swego kraju na emigracji, gdy chce obcym prezentować swój punkt widzenia, gdy chce tworzyć nowe koncepcje polityczne — ustawia naprzód rekwizyty urzędowania. Mniejsza już z tym, że zakładane biura nazywa ministerstwami, a zejście się czterech starych jegomościów radą ministrów. Tu już nawet nie chodzi o manię tytułów, koniecznie muszą to mieć, niech mają. Ale chodzi o bałwochwalczą wiarę w mechanizm urzędowania. Ta wiara jest tak hipnotyczna i tak olbrzymia, że w nim samym, w częstym procesie urzędowania wyczerpuje się cała polska energia i topi sam cel zasadniczy. Urzędowania, posiedzenia, zebrania, konferencje, sondaże, styczności.

To wszystko musi zawodzić i dawać uczucie czczości. Po prostu dlatego, że mechanizm urzędowania jest zawsze tylko środkiem do celu, narzędziem służebnym, jest złem koniecznym, ale nie wartością samą w sobie. Urzędy, biura, referaty są tylko wtedy czymś rzeczywistym, a nie mirażem i cieniem rzeczy, gdy pracują nad sprawami konkretnymi, gdy mają grunt pod nogami, gdy mogą rządzić, zawiadywać, organizować. Słowem — tworzyć naprawdę. A czymże może rządzić rada ministrów grupy społecznej, oderwanej szesnaście lat od kraju, nie chcąca zajmować się mniejszymi sprawami konkretnymi, które są, ale zajmująca się wielkimi majakami rzeczy, których nie ma. Zajmują się wymiarem sprawiedliwości, organizowaniem policji, ustrojem adwokatury, rangami ministrów z MSZ i tym podobnymi rzeczami, na razie zupełnie teoretycznymi.

Ciężką niedomogą, rakiem, który toczy polskie instytucje emigracyjne jest n i e r z e c z y w i s t o ś ć prac, które one dokonują. Złapało nas przed szesnastu laty przekleństwo Reginy, Rubensa i Strattonu i nie chce puścić, a my nie umiemy się wyrwać z tego koszmaru fikcji i wadliwej metody. Wiotczenie polskiego życia organizacyjnego powodowane jest przez to, iż od lat aparat organizacyjny, rozbudowany, celebrowany, obkadzany żywi się erzatzami, pije kawę bez kofeiny, pali papierosy bez nikotyny. Ginie i musi zginąć na awitaminozę konkretu, jeśli się nie wpuści do tej ciemnicy nieco światła i powietrza.

Od bałwochwalców ministerstw usłyszy się natychmiast odpowiedź, że do czasu, gdy będzie nad czym pracować, trzeba pracować nad tym, czego jeszcze nie ma, aby nie wyjść z wprawy. Niewielu tylko przychodzi do głowy, że skoro nie ma do załatwiania spraw w skali ministerialnej, lepiej załatwiać dobrze sprawy w skali gminy czy powiatu, aniżeli wydymać się fikcjami. Góra emigracji porażona została grzechem karygodnej pychy. Były minister, gdy go materialna bieda przyciśnie, może zmywać szklanki u Lyonsa, ale powołany do roboty społecznej, czy politycznej musi być od razu prezesem, dyrektorem departamentu. Szkółek sobotnich prowadzić nie może, książek dla biblioteki sortować nie będzie, kartoteki rozsianych towarzystw polskich po świecie prowadzić nie jest w stanie, bo mu nieistniejąca korona z ministerialnej spadnie z głowy.

W sumie wytwarza się taka sytuacja, że to, nad czym organizacje polityczne i społeczne emigracji pracują, jest wykonane źle, bo są to rzeczy, których w naszych warunkach w ogóle wykonywać nie można, te zaś sprawy, które mogą być wykonane, sprawy w dodatku pilne, potrzebne i niezbędne, w ogóle przez górę wykonywane nie są, ponieważ są uważane za zbyt małe w skali, aby były godne załatwienia przez rangi ministrów, pułkowników, generałów i prezesów.

A tych konkretnych spraw jest ilość bardzo znaczna: pokryć emigrację siecią polskiego szkolnictwa; zorganizować związaną mocno sieć bibliotek powszechnych; wydać potrzebne podręczniki, aby hamować proces wynaradawiania dzieci polskich; zorganizować zbiórkę Skarbu Narodowego w skali skutecznej; związać wielką, bo półtora miliona nowej i kilka milionów dawnej liczącą emigrację w jeden sprawny, elastyczny, pracujący organizm; sumować z jednej strony wiedzę o życiu Kraju, z drugiej wiedzę o przemianach na świecie w skali prawdziwej wiedzy politycznej, a nie popłuczyn dziennikarskich; związać w jedno wszystkie kontakty i drogi polskie do środowisk obcych i rozpościerać tymi drogami mądrą, przemyślaną treść informacji polskiej. To tylko część konkretnych zadań, które istnieją.

Trzeba przyznać, że niektóre z wyliczonych wyżej rzeczy już się załatwia. Ale jak, w jakiej mierze! Potrzebna jest skala dziesięciokrotnie, stokrotnie większa. To co jest, powstało zazwyczaj samorzutnie, z inicjatywy kilku osób dobrej woli w hostelu, z woli komitetu parafialnego, z namowy skromnego księdza, na którego pan minister ledwo patrzy, tak księża mizerność i zakres jego pracy nie dorasta do przeznaczeń ministerialnych. Gdyby te wszystkie oddzielne inicjatywy były związane razem, gdyby z dążenia do tego związania uczynić cel politycznych i społecznych prac emigracyjnych w skali najwyższej — otrzymalibyśmy w sumie sprężystą, wielomilionową emigrację polityczną jako jednorodny organizm sprawczy, który dziś utrzyma w pełnej świeżości narodowej polski żywioł emigracyjny, a jutro podejmie każdą inną pracę, będącą do wykonania. Ponieważ będzie gotów, ponieważ będzie wyszkolony, ponieważ będzie w ogóle — żywy.

W biologii wyodrębniono prawo zaniku tych komórek i narządów, które przez dłuższy czas są nieczynne. Takie organy obumierają. Podobne prawo rządzi również życiem grup ludzkich. Jeśli się im nie daje zadań konkretnych, a tylko iluzoryczne, jeśli zbyt długo pozostają nieczynne — zamierają. Chodzą jeszcze na akademie narodowe, ale do czasu. Gdy starzy wymrą, młodsi chodzić przestaną.

Na to, aby jutro robić s k u t e c z n ą politykę, trzeba dziś — w okresie przycisza — robić s k u t e c z n i e szkoły, książki i ciułać pieniądze. Emigracje, które to zrozumiały, przeżywały i przezwyciężały nieszczęście, emigracje tępe i bezrozumne a napuszone szły — przy odgłosie wielkich a pustych frazesów — na szmelc.

J. K.

MARIA CZAPSKA

W ROKU MICKIEWICZOWSKIM

KRAJ LAT DZIECINNYCH



Pomnik Adama Mickiewicza na Placu Alma w Paryżu

Mickiewicz nam tę ziemię odkrył, potem rzucił,
Ale nie mógł żyć bez niej i z powrotem wrócił,
I na zawsze tam został...

ST. BALIŃSKI

Pod zaborem rosyjskim wydawano Mickiewicza cenzurowanego. W wydaniu „Dziadów", które po raz pierwszy trafiły do rąk moich, ostatnie słowo Improwizacji było wykropkowane („Krzyknę, żeś ty nie Ojcem świata, ale ...") i nikt mi wtedy nie wyjaśnił jego brzmienia.

W Polsce dzisiejszej wychodzi Mickiewicz bez cenzury i w ogromnych nakładach, tak że już naprawdę mógł dzisiaj trafić pod strzechy, niemniej obecni historycy i wykładowcy literatury mają z nim niemało kłopotu.

Uznany oficjalnie za wieszcza narodowego (z powołaniem się każdorazowo na przemówienie Bieruta) jest obwarowany niezliczonymi komentarzami. Stefan Żółkiewski powołuje się na słowa Róży Luksemburg, że Mickiewicz, „uosobienie polskiej kultury narodowej, należy teraz do polskiej klasy robotniczej, jako takiego bierze go w posiadanie ona, która wyłącznie sama ma do tego prawo — jako największe dziedzictwo duchowe dawnej Polski." Stefan Żółkiewski dodaje od siebie: „Rewolucyjna klasa robotnicza, po swoim zwycięstwie, przekazuje to wielkie dziedzictwo, wzbogacone serdecznymi związkami z rewolucjonizmem proletariackim polskiemu narodowi socjalistycznemu".

Niebezpieczne to dla komunistów dziedzictwo, kryjące w sobie inne jeszcze „serdeczne związki", trudne do usunięcia nawet poprzez najprzemyślniejsze komentarze. Bo czy można komentarzami stłumić głos poety?

Walka o wolność gdy się raz zaczyna,
Z ojca krwią spada dziedzictwem na syna;
Sto razy wrogów zachwiana potęgą,
Skończy zwycięstwem.

Jak brzmi w uszach dzieci polskich ten ustęp z „Giaura" w tłumaczeniu Mickiewicza? Z jakim sercem czytają III część „Dziadów" albo „Pomnik Piotra Wielkiego"?

Lecz skoro słońce swobody zabłyśnie
I wiatr zachodni ogrzeje te państwa...

Chyba wiedzą wszystkie, że zastygła kaskada tyraństwa ciąży nadal nad ich ojczyzną.

I jak tu pisać chociażby o „kraju lat dziecinnych", o białoruskiej kolebce największego polskiego poety, który nazywa Litwę swoją ojczyzną?

Jak pisać o źródłach natchnienia, o skrzyżowaniu wpływów, o bogatym dziedzictwie tych ziem okrainnych, nie wspominając dawnej ich historii, nie wzmiankując najnowszej?

Ten kraj szczęśliwy, ubogi i ciasny,
Jak świat jest Boży, tak on był nasz własny!

— Dziś leży za żelaznym kordonem Sowieckiego Związku. Setki tysięcy jego obywateli wysiedlono w głąb Rosji lub na Syberię, inne setki tysięcy uszły stąd na Zachód, porzucając dobrowolnie najmilszą ojcowiznę, kościoły i cmentarze przodków. Dlatego dzisiejsi biografowie poety piszą o tej ziemi jakby nie miała historii i znajdowała się gdzieś i nigdzie.

W kronikach ruskich Nowo-Horodok, w dokumentach łacińskich Novogardia, albo Neogardia, w kronikach polskich Nowogródek Litewski albo Krywiczański leżał na dziale wód pomiędzy Niemnem a Berezyną, na pograniczu osad Jadźwingów. Ta słowiańska dzielnica, shołdowana Litwie w połowie XIII wieku, Nowogródek wyrasta na stolicę Litwy za Mendoga. Witold podnosi zburzony przez Krzyżaków starodawny zamek, zabudowuje wyludnione miasto i osadza je tatarskimi jeńcami; Jagiełło poślubia w tym zamku czwartą żonę swoją, kniaziównę Holszańską; Kazimierz Jagiellończyk nadaje miastu prawodawstwo magdeburskie. Od Stefana Batorego począwszy zjazdy trybunalskie odbywają się na zmianę w Nowogródku i Mińsku. Jan Sobieski obdarza je wyraźnym przywilejem, oswabadzającym od kwaterunku wojskowego. Jak daleko sięga pamięć kronikarzy, istniały w tej Neogardii dwie cerkwie. W XVII wieku było już dziesięć domów Bożych obu obrządków. Klasztor bazylianów ufundował Weliamin Rudzki, bazylianek — Chreptowicz, kościół i klasztor bonifratrów — Lew Sapieha, jezuitów i dominikanek — Moszyński.

Za czasów dzieciństwa Mickiewicza, wedle współczesnych notatek jego brata Franciszka, było w powiecie, prócz miasta, klasztorów męskich sześć, kościołów i cerkwi drewnianych sześćdziesiąt, murowanych dwanaście, szpitali szesnaście, wsi obywatelskich (czyli większych posiadłości szlacheckich) pięćdziesiąt siedem, wioseneczek mniejszych, szlacheckich (czyli tzw. zaścianków i okolic) — dziewięćset trzynaście, karczem aż czterysta dwadzieścia sześć...

W Nowogródku była też synagoga, jako że Żydów liczono około trzech tysięcy w powiecie, był meczet dla blisko sześciuset Tatarów, wiernych islamowi. Zbór kalwiński zamknięto za Zygmunta III.

Pomiędzy Zaosiem a dworkiem w Nowogródku, upłynęły Adamowi, drugiemu synowi Mikołaja Mickiewicza, adwokata nowogródzkiego oraz komornika mińskiego (mierniczego powiatowego) i Barbary Majewskiej „ślubnych i szlachetnych małżonków" (jak głosi metryka chrztu) — pierwsze lata szczęśliwego dzieciństwa.

Na chrzcie dostał imiona Adam-Bernard, jako że trzymał go do chrztu Bernard Obuchowicz, sędzia ziemski mozyrski z „urodzoną" Anielą Uzłowską, małżonką sędziego granicznego powiatu nowogródzkiego. Jaśnie wielmożny Obuchowicz przyjechał zapewne w mroźny dzień styczniowy saniami z pobliskiej Lipy; zaprzężonymi koń przed koniem (bo droga w styczniu bywa kopna), przy głośnym dzwonieniu janczarów. Przyjmowany był gościnnie i uniżenie przez małżonków Mickiewiczów i kumę swoją imć panią sędzinę Uzłowską. Zapewne ani chwili nie przypuszczał sędzia mozyrski, bene natus et possessionatus, że przejdzie do potomności jedynie dzięki temu niemowlęciu ciasno skrępowanemu płóciennymi powijakami, w imieniu którego trzykrotnie wyparł się na chrzcie świętym ducha złego i wszystkich spraw jego... i wszelkiej pychy jego...

Trzech młodszych braci Adama pomnożyło wkrótce rodzinę, starsi bujali więc samopas, ćwicząc wcześnie czujność i męstwo swojej niezależności.

Kancelaria Mikołaja Mickiewicza niezbyt wielkie miała powodzenie. Miał on w powiecie opinię nieszczególną jako pieniacz i „dusiciel", bywał też sam pozywany do sądu za oszczerstwa i nawet za nocne najścia i bójki. Szczególną złość żywił do Tadeusza Haciskiego, podobnie jak on adwokata nowogródzkiego oraz instygatora (prokuratora) Komisji Cywilno-Wojskowej województwa. Kiedy w spisie adwokatów z 1800 r. Haciski ma aż pięciu aplikantów sądowych przy swojej kancelarii, Mikołaj Mickiewicz nie ma ani jednego. Stąd może owa zażarta nieprzyjaźń do imć pana Haciskiego.

Sprawy, w których Mikołaj Mickiewicz występował, były na ogół błahe, a po 1800 roku coraz rzadsze; dotyczyły przeważnie weryfikacji wymaganych wówczas przez rząd rosyjski dokumentów szlachectwa.

Dziś nam szlachectwa przeczą, każą nam drabować
Papiery i szlachectwa papierem próbować...
(„Pan Tad. z ks. 4)

Mickiewicz wspominał o jednym tylko słudze w domu ojcowskim (może woźnicy pana adwokata?), i o jednej starej służącej Gosiewskiej, tej która po śmierci matki przyjęła go w opustoszałym domu, tej samej, która umiała wszystkie pieśni tamtejsze, polskie i białoruskie, śpiewane z dziewczętami w zimowe wieczory przy kołowrotkach.

„Dziwna rzecz — opowiadał poeta po latach dzieciom swoim — że wszystkich tych pieśni, z bardzo małymi wyjątkami, wyuczyłem się dzieckiem w Nowogródku, w rodzicielskim domu, ...mogę dziś jeszcze każdą zanucić i błędy wydawców sprostować."

Melodia prządek nowogródzkich, brzmiała mu w uszach na bruku nielubianego miasta w najciaśniejszej i najbrudniejszej ulicy Paryża, St. Nicolas, gdzie pisał „Pana Tadeusza". Pamiętał też dobrze żniwiarek białoruskich

...piosenkę zwyczajną,
Jak dzień słotny ponurą, tęskną, jednostajną.

Bo nie łatwo zapomnieć to ubogie zawodzenie, z przeciąganą w nieskończoność ostatnią nutą, które snuło się po polach aż do ciemnych już i chmurnych wieczorów jesiennych, kiedy dożynano spóźnione owsy i jęczmienie. Pamiętał je każdy, kto wyszedł z tego Kraju. Słyszało się je i w Mińszczyźnie i Mohylewszczyźnie, to samo, tylko im dalej na północ, tym smutniejsze, tym bardziej gardłowe, z urwaną jakby szlochem frazą końcową.

Zimowymi wieczorami rwał się mały Adam z ciepłej kuchni w Zaosiu do pobliskiej wsi, aby posłuchać tam gadek starego bajarza. Kunszt opowiadania tych chłopów „poetów z urodzenia" — jak mówił Mickiewicz — „którzy zawsze w opowiadanych zdarzeniach odgrywają część swego dramatu", zachował poeta w żywej pamięci. Wrażenie powiększała postawa wiejskich słuchaczy, ich natężona uwaga, zapatrzenie i podziw... W jednej z tych bajek bohater idzie szukać cudownego ptaka i znajduje tylko jego pióro. Wniesione do izby jaśnieje ono jak pochodnia. „W tym miejscu — mówił Mickiewicz słuchaczom w Collège de France — opowiadający zapala znienacka garść wiórów, a płomień wstrząsa wszystkich obecnych i daje im żywo uczuć stosowne wrażenie. W innej powieści, gdzie mowa o zamku kryształowym zaczarowanych księżniczek... bajarz słowiański otwiera drzwi lub okno i słuchaczom swoim pokazuje zimowe niebo iskrzące się gwiazdami wśród przejrzystych obłoków, lepiej niż wszystkie płótna teatralne przedstawiające zamek kryształowy."

Potem przyszła kolej na tajemne obchody „Dziadów" w starych kaplicach lub w pustych domach w pobliżu cmentarzy. Nie były to miejsca odpowiednie dla dzieci tym bardziej, że obchody te zwalczane były przez duchowieństwo jako naganne i pogańskie praktyki. Ale przez to właśnie były w dwójnasób kuszące dla ciekawych i śmiałych chłopców. Adam spodziewał się niezawodnie ujrzeć tam na własne oczy, lub chociaż posłyszeć, którąś z pokutujących duszyczek, zlatujących na przygotowane dla nich jadło.

Cel tak poważny: święta, miejsca samotne, czas nocny, obrzędy fantastyczne przemawiały niegdyś silnie do mojej imaginacji..." — wyznaje poeta.

Po przeprowadzeniu się rodziny do Nowogródka, prawdopodobnie na sku-

tek złego stanu majątkowego, powiatowe miasteczko dostarczyło chłopcu nowych wrażeń i wzruszeń. Liczne cerkwie i kościoły, kramy żydowskie, jarmarki, procesje, zjazdy obywatelskie rozszerzyły widnokrąg obserwacji. W cerkwi św. Mikołaja, ojcowskiego patrona, znajdował się starożytny obraz Bogarodzicy, ocalony z pierwotnej świątyni zamkowej. Matce Boskiej w tym obrazie przypisywała pani Barbara cudowne uzdrowienie syna Adama.

Rynek kwadratowy, obszerny, mieścił pośrodku dwa rzędy kramów żydowskich. Większą część roku pokryty śniegiem lub grząskim błotem, roił się w miesiącach letnich od kur i kaczek żerujących tu na kupach śmieci albo w kałużach deszczowych. Psy wylegiwały się w słońcu.

„Trzeba mieć dobrze demokratyczne zmysły... — donosił Mickiewicz z Konstantynopola starej przyjaciółce, pani Chlustin — aby znieść pierwsze wrażenie wschodniego miasta. Ja się do tego jednak szybko przyzwyczaiłem. Wyznam Pani, że nie jest to bez pewnego uroku, że zatrzymywałem się w niektórych dzielnicach miasta, które mi się zdawały zupełnie podobne do dzielnic mego miasteczka rodzinnego na Litwie. Proszę sobie wyobrazić na przykład plac publiczny, pokryty warstwą gnoju i piór, gdzie się spokojnie przechadzają kury, indyki i różne rodzaje zwierząt w pośrodku gromady psów, które drzemią...“

Kilka tylko minut rączego biegu dzieliło dworek Mickiewiczowski od Zamkowej Góry, od jej murów wzniesionych na fundamentach granitowych głazów i szczytowych, kilkupiętrowych baszt. Stąd ogarniało oko przestrzeń rozległą pól i łąk, lesistych pagórków, szarych strzech, wijących się strumieni zarosłych olszyną. Te mury i zasypane gruzem fosy, sklepienia potężnej bramy — gadały Adamowi powieści o krzyżackich szturmach i zagonach tatarskich... Miasto płonęło, ludność kryła się po lasach, zamek się bronił... Przez tę bramę, po moście zwodzonym wyruszały zbrojne zastępy, Witold gromadził tu hufce swoje przed grunwaldzką potrzebą, tędy przechodził orszak weselny Sonki Jagiełłowej. Tu wyobraźni chłopca rozliczne narzucały się obrazy: puszczyk rzucał w ciszę nocy przeciągłe hukanie, nietoperze znaczyły mu nad głową zwinne arabeski. W blaskach księżyca

Po wałach z darni i po sinym piasku
Olbrzymim słupem łamał się cień bury...

Tupot kopyt słychać na dalekim moście — to konie wyganiano na pastwisko; ale chłopcu się zdało, że to tętent krzyżackich posłów śpieszących na zamek, że w dolinie migają ich białe płaszcze, że już dźwięczą u bramy podkowy... Adam patrzał i słuchał.

Na Górze Zamkowej, od południowej strony, zaraz po spłynięciu śniegów, wysuwały się spod zeschłej darni pierwsze kosmate pąki sasanek, po nich wysuwały blado-zielone łodyżki żółte kluczyki, czyli pierwiosnki, a w lesie pod baziami leszczynowych krzaków świeciły niebieskie oczka przylaszczek. To kwiecie wiosenne zbierane było wraz z zielonymi listkami brusznicy na procesję Rezurekcji, odprawianej o szarym, przejrzystym świcie wiosennym, przy tłumie zbiedzonych Wielkim Postem wiernych.

Wesoły nam dzień dziś nastał...

O radości pierwszych kwiatów po długiej, ciężkiej zimie, radości bocianów wracających na stare gniazda zaraz po św. Józefie, na marcowe kontrakty, radości ich zwycięskiego klekotu...! Radości pierwszej gromadki jaskółek na bladym niebie przedwiośnia!

Kraje dzieciństwa, gdzie człowiek po świecie
Biegł jak po łące, a znał tylko kwiecie...

Uczniem powiatowej szkoły dominikańskiej został Adam mając lat osiem. W szkole nowogródzkiej zawiązał pierwszą, nigdy niezachwianą przyjaźń z Janem Czeczotem („wspólne były zabawy, nauki i czuby...“), obaj rej wodzili wśród rówieśników, sprzeciwiali się „piątklasom“ i opierali nawet ojcom-wychowawcom:

Kto oprócz ciebie, Janie, oprócz mnie Adamie
Przeciw biało-kapturnym silne stawiał ramię?

Program szkoły nowogródzkiej był dość rozległy, w myśl wymagań wileńskiego okręgu szkolnego. Z tej szkoły dominikańskiej wyniósł poeta sporo wiadomości i nie tylko znajomość gramatyki łacińskiej, ale szczere umiłowanie autorów rzymskich.

„Rzym był dotąd największą rzeczą na ziemi —pisał wiele lat później z Paryża do córki, zwiedzającej Wieczne Miasto. — Niewielu udało się być w Rzymie i ja w młodości ledwie o tym marzyłem. Za moich czasów było to trudne (z Nowogródka), jak dziś z ziemi na księżyc. Nie uwierzysz jakeśmy za tem tęsknili, czytając Liwiusza, Swetoniusza i Tacyta... Co to wysilenia, krwi i potu na każdym kamieniu tego miasta!...

„...Słyszałaś jak ludzie pracują w Kalifornii na kawałek złota: teraz dla ciebie Rzym tą kopalnią...“ (19. XII. 1851)

Aż nadszedł rok dwunasty,
Zdawna niebieskim oznajmiony cudem...

Mickiewicz i jego bracia przyszli na świat już pod zaborem rosyjskim; kalendarz juliański, czyli tzw. „stary styl“, wprowadzono dopiero ukazem cara Pawła w listopadzie 1799 r., ale język w szkolnictwie i urzędach pozostał polski, kuratorem litewskiego okręgu szkolnego, czyli ośmiu gubernii tzw. wtedy „Zachodniej Rosji“ został w 1803 r. ks. Adam Czartoryski. Kościół katolicki ani też unicki nie znały jeszcze wówczas prześladowań. Po większych miastach stały garnizony rosyjskie, ale marsze i przemarsze wojsk imperatorskich nie były już od szeregu lat nowością na tych ziemiach granicznych. Adam nie zachował też zbyt złego wspomnienia o tych przybyszach:

A jeśli czasem i Moskal się zjawił,
Tylc nam tylko pamiątki zostawił,
Że był w błyszczącym i pięknym mundurze:
Bo węża tylko znaliśmy po skórze— *)

W 1811 wstąpił na niebo gość nowy:

Był to kometa pierwszej wielkości i mocy,
Zjawił się na zachodzie, leciał ku północy...

Cóż by miał wróżyć ten cud niebieski? Starzy ludzie przepowiadali wojnę albo zarazę. A wojna toczyła się po świecie. Ilekroć gazeta zjawiała się w miasteczku, Adam czytał na głos ojcu komunikaty W. Armii. Młodzież szlachecka zbiegała do Księstwa Warszawskiego i zaciągała się do Legionów. Armia Napoleońska szła na Wisłę.

Mikołaj Mickiewicz niedomagał; gnębiły go niepowodzenia materialne, naciskali wierzyciele, dobiły go te zgryzoty. Umarł 16 maja 1812, w pamiętną wiosnę wojny, licząc lat czterdzieści siedem; zostawił wdowę i czterech małoletnich synów bez zabezpieczenia, dworek miejski był obdłużony.

22 czerwca Napoleon wydał odezwę do wojska czytaną na froncie wszystkich batalionów:

Żołnierze!

Zaczęła się druga Wojna Polska. Pierwsza była zakończona pod Friedlandem i w Tylży. W Tylży Rosja zaprzysięgła wieczyste przymierze Francji a wojnę Anglii. Dziś łamie swoje zobowiązania... grozi jej fala przeznaczeń, los jej się dopełni... Czy Rosja sądzi, żeśmy zwyrodniali? Czyżbyśmy już nie byli żołnierzami spod Austerlitz? Zmusza nas ona do wyboru pomiędzy niesławą a wojną. Nie może być dla nas wahania!

Naprzód żołnierze! Przekroczymy Niemen, rzucimy na jego terytorium wojenne zarzewie. Druga Wojna Polska okryje chwałą oręż francuski podobnie jak pierwsza. Ale pokój zawarty... położy kres zgubnym wpływom Rosji na sprawy europejskie...

Z Kwatery Głównej w Wyłkowyszkach, 22. 6. 1812 r..

1 lipca, w chwili gdy prawe skrzydło Wielkiej Armii pod dowództwem Hieronima, króla westfalskiego, brata cesarza, miało wyruszyć w stronę Nowogródka, na drodze, którą się wycofywał gen. Bagration, wybuchła straszliwa burza, która zaczęła się już 29 czerwca wieczorem i ogarniała stopniowo całą Litwę. Cesarz przebywał wtedy w Wilnie. W ciągu jednej nocy zginęło takie mnóstwo koni, że część sprzętu wojennego trzeba było porzucić z braku zaprzęgów, a stąd wielkie się wkradło zamieszanie wśród kawalerii i w taborach. Zabite konie leżały setkami wzdłuż gościńców, lazarety i szpitale miejskie były przepełnione rannymi żołnierzami. Armia rosyjska odstępowała, ale gonić ją w tych warunkach i przy tym stanie dróg było niepodobieństwem.

„Drogi tego kraju lasów i błot — pisze później adiutant króla Hieronima, A. du Casse — rozjechane naszymi ciężkimi kolasami i furgonami były nie do przebycia, działa grzęzły, konie ustawały.“**)

W chwili, kiedy I Dywizja ks. Poniatowskiego przechodziła przez las w pobliżu Grodna, olbrzymie drzewo wyrwane z korzeniami zwaliło się w poprzek drogi na kompanię grenadierów, zabijając dziesięciu ludzi.

Król Hieronim i książę Józef jechali na czele wojska; wtedy Poniatowski miał powiedzieć królowi: „Niech Wasza Królewska Mość raczy zauważyć, Rosjanie nie byliby w stanie powalić moich zuchów, na to trzeba było mocy niebieskich! (il fallait que le ciel s'en mêle)“.

Tę burzę poprzedzającą bezpośrednio wkroczenie wojsk napoleońskich do Nowogródka wspomniał Pan Adam na bruku paryskim i zakończył nią ostatni zajazd na Litwie.

...wichry zwarły się, porwały się w poły,
Borykają się, kręcą, świszczącymi koły...
Aż z całym tych chaosem wody i kurzawy,
Słomy, liścia, gałęzi, wydartej murawy
Wichry w las uderzyły, i po głębiach puszczy
Ryknęły jak niedźwiedzie.
A już deszcz wciąż pluszczy...
(„Pan Tadeusz“ Ks. X.)

Burza ucichła się dopiero 3 lipca (w wojsku zaczęła się już wtedy szerzyć epidemia dyzenterii i plaga maruderów). Prowiant, z rozkazu nowych władz, miano gromadzić w Nowogródku, gdzie 8 lipca wkroczyły pierwsze trzy korpusy armii króla Hieronima.

Konnica! dziwne stroje, niewidziane bronie,
Pułk za pułkiem...

Pod Koreliczami, 9.7., doszło do pierwszej potyczki pomiędzy szwoleżerami polskimi, stanowiącymi skrajną awangardę armii króla westfalskiego a kozakami Płatowa.

„Polacy, pełni zapału i nienawiści — pisze tenże du Casse — rwali się do boju, mimo że nieprzyjaciel miał nad nimi liczebną przewagę.“

Francuskie gazety wydawane w Wilnie i Mińsku głosiły niezwyciężoną potęgę Wielkiej Armii, sławiły geniusz cesarza. Po dworach urządzano huczne przyjęcia, po kościołach nabożeństwa. Rosła wiara w wyzwolenie:

Bóg jest z Napoleonem, Napoleon z nami...

Wtedy to czternastoletni Adam zapragnął zastąpić drugie swe imię imieniem cesarza, tym samym, które nosił też Zygmunt Krasiński, urodzony w 1812 i którego ojcem chrzestnym w Paryżu był Napoleon.

Możni obywatele formowali nowe pułki kawalerii i piechoty. U stóp Góry Zamkowej ciągnęły się nieprzejrzane biwaki po błoniach i polach, mury zamku płonęły blaskiem ogni, grały echem nawoływań i piosenek.

Pogoda po burzy była najpiękniejsza. Konie pasły się zbożem na pniu i zielonym owsem.

Niełatwo było biednej pani Barbarze dowołać się i doprosić czterech rozbieganych, oszalałych ciekawością chłopaków.

Armie odpłynęły, maruderzy dawali się we znaki wioskom i miasteczkom, pola i łąki były stratowane, wypasione i wypalone. Lato przeszło w jesień, po czym nastała wczesna, surowa zima. Zaczęto mówić o odwrocie, domyślać się ogromu klęski. Zdobyta Moskwa płonęła.

I wtedy to ujrzał Adam ponownie Armię Napoleońską: pochód okropnych, poprzebieranych mar. Żołnierze rozbijali zawarte bramy, wdzierając się przemocą do mieszkań nie strzeżonych i pustych domów, zalegali piwnice i strychy, gdzie marli z głodu, chłodu i wyczerpania. Na rynku płonęły ogniska. Bezsenne, wąsate twarze, szkliste spojrzenia wbite w płomienie szarpane wiatrem.

— Starzy już jesteście — zagadnął ich Adam — dlaczego opuściliście kraj wasz, odbiegając odeń tak daleko?

— Bo nie mogliśmy go opuścić... — odpowiadali — nie mogliśmy zostawić go samego.“

Michelet w jednym ze swoich wykładów w 1847 r. przytoczył tę niezwykłą rozmowę, przekazaną mu przez Mickiewicza: „wielką w swojej prostocie — dodał — w której czuć tętno serca Francji — skarb uratowany i zachowany przez polskie dziecko.“

Stare lipy otaczające nowogródzką farę poszły na ogień, podobnie jak drewniane płoty dworków miejskich, szopy i budy wszelakie. Wkoło płonęły wsie i dwory, ludność kryła się w lasach z resztą dobytku, jak za najazdów tatarskich i krzyżackich.

Pani Barbara drżała bez przerwy o bezpieczeństwo domu, o życie dzieci. I oto zjawił się któregoś dnia opatrznościowy opiekun: czarny pies przybłęda. Nakarmiony przywiązał się do domu i strzegł go wiernie w ciągu strasznej zimy. Z wiosną, kiedy niebezpieczeństwo minęło, znikł równie niespodzianie, jak się pojawił.

Chłopcy Mickiewicze wrócili do szkół. W 5 klasie Adam został już dozorcą młodszych uczniów. W domu był niedostatek.

29 czerwca ukończył Mickiewicz 6 i ostatnią klasę szkoły nowogródzkiej. Ojcowie wydali mu łacińskie świadectwo, że był w naukach pilny i odznaczał się pobożnością oraz dobrymi obyczajami.

Napoleon, więzień św. Heleny, pozostał nadal bohaterem Mickiewicza. W szeregi wileńskiej młodzieży uniwersyteckiej wchodzi poeta w roku klęski pod Waterloo, jako Adam-Napoleon.

Co się dzieje dziś na tej ziemi, białorusko-polskiej, ojczyźnie poety?

Cerkwie i kościoły zamknięte, dwory spalone, zaścianki szlacheckie zarastają lasem, albo dają przytułek obcym osiedleńcom. Wsie skolektywizowane, stare pieśni zamilkły, starzy ludzie wymarli, albo zostali wygnani.

Przetrwały tylko zapewne mury zamku na Nowogródzkiej Górze, tu i ówdzie stare grusze na miedzach a także sekret tej ziemi — poezja. I ta poezja łącznie z trudem i męką jej mieszkańców, raz jeszcze wyrokami historii najbrutalniej przemieszanych, wydadzą, być może, nowe życie i radość, nowe wartości w nowych ludziach — kiedy nas już nie będzie.

Maria Czapska

*) Jak wiadomo epilog „Pana Tadeusza“ został wydany z pośmiertnych papierów i z brulionu. W rękopisie czterowiersz powyższy jest przekreślony ręką Mickiewicza, dlatego bywał już to włączany do tekstu, już to umieszczany w przypisach lub wariantach. W wydaniach krajowych ostatnich lat, włącznie z wyd. Narodowym („Czytelnik“, Warszawa 1949) jest całkowicie pominięty, mimo że Moskal chodzi dziś w Polsce w polskim mundurze, i dzieci nie mogą go rozpoznać.

**) „Mémoire pour servir à l'Histoire de la Campagne de 1812 en Russie“ Paris, 1852.

Z OŚWIADCZEŃ PAPIESKICH

EKSPERYMENTOWANIE NA CZŁOWIEKU ŻYWYM *)

Naukę Kościoła w zakresie eksperymentowania na człowieku żywym omówił Papież w trzech przemówieniach: z 14 września 1952 do Pierwszego Międzynarodowego Kongresu Histopatologii Systemu Nerwowego, z 19 października 1953 do członków XVI Międzynarodowego Kongresu Medycyny Wojskowej i z 30 września 1954 do VIII Zebrania Światowego Stowarzyszenia Medycznego.

By zrozumieć naukę Kościoła w tym zakresie, trzeba dokładnie rozważyć jej zasady, rozwinięte przez Papieża. Dopiero wówczas wystąpi ona jasno jako nieodparta, logiczna konsekwencja zasad moralności chrześcijańskiej, innymi słowy: jako wniosek wypływający z tych zasad.1)

SPOŁECZNOŚĆ, W SZCZEGÓLNOŚCI SPOŁECZNOŚĆ POLITYCZNA

Społeczność, a więc także społeczność polityczna (czyli państwo) rozumiana jako całość, nie jest bytem fizycznym tak jak organizm cielesny, nie jest jednością fizyczną, która istnieje w sobie, a indywidualni członkowie społeczności nie są jej częściami integralnymi. Co to znaczy? Czym się społeczność różni od organizmu fizycznego? — Organizm fizyczny istot żywych, roślin, zwierząt, człowieka posiada, jako całość, jedność istniejącą w sobie, a każda z części organizmu fizycznego np. ręka, noga, serce, oko jest częścią integralną organizmu, przeznaczoną ze swej istoty do tego, by być włączoną w całość organizmu. Poza organizmem każdy z tych członków nie ma, z natury swojej, żadnego sensu i żadnej celowości.

Zupełnie inaczej jest ze społecznością. Każdy z członków społeczności czyli każdy indywidualny człowiek ma, z natury swej, sens i cel istnienia: stworzony na obraz i podobieństwo Boga przeznaczony jest do życia wiecznego. Człowiek w swym bycie osobowym, w swej istocie, nie istnieje dla społeczności, lecz wprost przeciwnie społeczność, a więc także i państwo istnieją dla Człowieka.

Społeczność jest potężnym środkiem zamierzonym przez Stwórcę natury a to celem wymiennego zaspokajania wzajemnych potrzeb, dla pomagania każdemu do całkowitego rozwoju jego osobowości stosownie do zdatności osobistej i społecznej. Społeczność ma więc **tylko** jedność celowości i działania, a osoby należące do społeczności są **tylko** współpracownikami i narzędziami do osiągnięcia wspólnego celu.

Z tego wynika ważny wniosek. Ponieważ społeczność, a więc i państwo ma **tylko** jedność celowości i działania, wobec tego aczkolwiek władza społeczności, a więc i władza państwowa ma bez wątpienia prawo do stawiania wymagań osobom do społeczności należącym, to w żadnym wypadku nie może ona jednak rozporządzać wprost, bezpośrednio (directement) ich fizycznym bytem. Również każdy zamach wprost na ich istotę jest nadużyciem kompetencji władzy. Wobec tego zaś, że państwo nie posiada prawa rozporządzania ciałami swych obywateli, nie może ono tedy pozwalać lekarzowi na rozporządzanie ciałami pacjentów, jako że nie można przekazywać komuś drugiemu prawa, którego samemu się nie posiada.

W czasie ostatniej wojny, za zgodą państwa lub nawet na jego wyraźny rozkaz, pewne centra badań wymagały systematycznego dostarczania im ludzi z obozów koncentracyjnych dla przeprowadzania na ich żywych organizmach doświadczeń medycznych, o czym nie można czytać bez głębokiego współczucia dla tych ofiar, z których wiele poniosło śmierć. Nie można się oprzeć przerażeniu w obliczu takiego zboczenia z drogi zdrowego rozsądku i takiego zlekceważenia głosu serca człowieczego.

PRAWO PACJENTA DO SWEGO CIAŁA

Ponieważ organizm fizyczny jako całość jest jednością istniejącą w sobie, a każdy z jego członów ma, z natury swej, sens i celowość tylko wtedy, gdy jest włączony w tę całość jako integralna jej część, przeto gospodarz tego organizmu, a więc każdy człowiek, ma prawo wprost i bezpośrednio rozporządzać integralnie swym ciałem, a także jego częściami w granicach ich przyrodzonej celowości. Ma też prawo usuwania ich w razie, gdy wymaga tego dobro całości organizmu. Ale człowiek nie jest absolutnym panem swego ciała, lecz tylko włodarzem, jego prawo do dysponowania swym ciałem jest ograniczone wolą Boga.

PRAWO LEKARZA DO CIAŁA PACJENTA

Jeśli chodzi o lekarza, to może on rozporządzać ciałem pacjenta tylko o tyle, o ile pacjent mu na to pozwoli. Ponieważ pacjent może udzielić pozwolenia tylko w tych granicach, w jakich sam ma prawo rozporządzać swym ciałem, to znaczy w granicach przykazań Boskich, przeto chory nie może zgodzić się na operację na pewno śmiertelną i — w wypadku nieuleczalnej choroby nie może żądać zastrzyków sprowadzających śmierć. A lekarz, nawet w razie żądania pacjenta nie ma prawa stosować takiego zabiegu chirurgicznego lub dawać takich zastrzyków, bo chory nie może zwolnić lekarza od posłuszeństwa, które i lekarz winien jest Bogu.

TEKST Z PRZEMÓWIENIA Z 30 WRZEŚNIA

(Tłumaczenie z oryginału francuskiego)

Według informacyj, jakie do Nas doszły ze strony Panów, do pierwotnego programu waszego obecnego Kongresu dodali Panowie zagadnienie eksperymentowania na żywym człowieku.

Jaki zakres może przybrać to robienie doświadczeń i do jakich może doprowadzić nadużyć, wykazały to procesy lekarzy po wojnie.

Pozwalamy sobie przypomnieć Panom w tym przedmiocie urywek jednego z Naszych poprzednich przemówień.2)

Jest to zrozumiałe, że badania i praktyka lekarska nie mogą obejść się całkowicie bez robienia doświadczeń i na żywym człowieku. Lecz chodzi o poznanie, jakie są konieczne przesłanki uzasadniające robienie tych doświadczeń, jakie są granice doświadczeń, jakie zapory i podstawowe zasady decydujące. W wypadkach beznadziejnych, kiedy chory jest nie do uratowania jeśli nie użyje się zabiegu lekarskiego i jeżeli istnieje lekarstwo, środek, operacja, które, nie wykluczając całkowicie niebezpieczeństwa, zostawiają przynajmniej jakąś możliwość pomyślnego wyniku, wówczas prawy i rozważny umysł przyzwala bez zastrzeżeń na to, by lekarz, za wyraźną lub milczącą zgodą pacjenta przystąpił do zastosowania tego leczenia. Lecz badanie, życie i praktyka nie ograniczają się do tych tylko wypadków, wychodzą poza nie i idą dalej. Nawet lekarze poważni i sumienni wypowiadają zdania, że gdyby nie odważano się na nowe drogi, gdyby nie próbowano nowych metod, hamowałoby się postęp, o ile w ogóle nie paraliżowałoby się go zupełnie. W dziedzinie zabiegów zwłaszcza chirurgicznych, podkreśla się, że dlatego wiele operacji, nie przedstawia dzisiaj żadnego specjalnego niebezpieczeństwa, bo mają one za sobą drogę doświadczeń, prowadzonych przez czas długi, czas konieczny dla lekarza, aby mógł zdobyć wiedzę i nabrać wprawy — i że mniej lub więcej wielka liczba wypadków śmiertelnych znamionuje początki tych doświadczeń.

Do kompetencji zawodowej Panów należy odpowiedź na pytania, które dotyczą przesłanek lekarskich i wskazań na temat robienia doświadczeń na żywym człowieku. Trudność istniejąca jednak w sprecyzowaniu wyjaśnienia moralnego i prawnego tego zagadnienia mówi nam, że konieczne są tutaj pewne wskazania.

W Naszej alokucji do lekarzy wojskowych sformułowaliśmy, pokrótce, istotne w tym zakresie wytyczne.3)

Ażeby roztrząsać i rozstrzygać te problemy, bierze się pod uwagę, jak to widać w cytowanym tekście, szereg zasad moralnych o znaczeniu najbardziej zasadniczym: zagadnienie stosunków między jednostką i społecznością, zagadnienie treści i granic prawa użytkowania własności bliźniego, zagadnienie przesłanek i zakresu zasady całości, zagadnienie stosunków między celowością osobistą i społeczną człowieka i inne podobne. Jakkolwiek te zagadnienia nie należą do specyficznej dziedziny medycyny, to w każdym razie powinna ona na równi z jakąkolwiek inną dziedziną ludzką brać je pod uwagę.

To, co ma wartość dla lekarza ze względu na pacjenta, ma również wartość dla lekarza ze względu na niego samego. Jest on poddany tym samym wielkich zasadom moralnym i prawnym. On również nie może oddawać siebie jako przedmiotu doświadczeń naukowych lub praktycznych, pociągających za sobą poważną szkodę lub zagrażających jego zdrowiu; tym mniej jeszcze jest on uprawniony do poddania się próbnemu zabiegowi doświadczalnemu, który, według opinii miarodajnej, może pociągnąć za sobą kalectwo lub samobójstwo. Ponadto, to samo trzeba powiedzieć o pielęgniarzach i pielęgniarkach i o kimkolwiek, kto jest skłonny do zgodzenia się na badania terapeutyczne. Nie mogą oni poddawać się takim doświadczeniom. Ta odmowa płynąca z zasady nie dotyczy osobistej pobudki tego, kto się zobowiązuje, poświęca i zaprze samego siebie na korzyść chorego ani też pragnienia współpracy dla pożytku poważnej wiedzy, która chce pomagać i służyć. Jeśliby chodziło o to, odpowiedź twierdząca nasuwałaby się sama przez się. W żadnym zawodzie, a w szczególności w zawodzie lekarskim i pielęgniarskim nie brak ludzi, którzy są gotowi poświęcić się całkowicie dla innych i dla dobra ogólnego. Lecz nie chodzi tutaj o tę pobudkę i to zaangażowanie się osobiste; w tym postępowaniu chodzi ostatecznie o zdawanie sobie sprawy, że rozporządza się dobrem nieosobistym, nie mając do tego prawa. Człowiek jest tylko włodarzem użytkującym, a nie posiadaczem niezależnym i właścicielem swego ciała, swego życia i tego wszystkiego, co Stwórca dał mu, by tego używał i to zgodnie z celami natury. Zasada fundamentalna: „Tylko ten, kto ma prawo dysponowania, jest uprawniony robić z tego użytek, i to jedynie w granicach, jakie są dla niego ustalone“ — jest jedną z ostatecznych i najbardziej powszechnych norm działania, na których zdrowy rozsądek opiera się spontanicznie i niewzruszenie i bez których porządek prawny i porządek wspólnego pożycia ludzi w społeczeństwie jest niemożliwy.

W tym, co dotyczy zabierania części ciała zmarłego dla celów terapeutycznych, nie można pozwolić lekarzowi na obchodzenie się ze zwłokami, jak mu się podoba. Do władzy publicznej należy ustalenie odpowiednich reguł. Lecz i ona również nie może postępować arbitralnie. Są teksty prawne, przeciwko którym można podnieść poważne zarzuty. Norma taka jak ta, która pozwala lekarzowi, w sanatorium, pobrać części ciała dla celów terapeutycznych, przy wykluczeniu wszelkiej myśli zysku, nie jest dopuszczalna choćby ze względu na możliwość zbyt swobodnego interpretowania. Trzeba też brać pod uwagę prawa i obowiązki tych, na których spoczywa troska o ciało zmarłego. Ostatecznie trzeba respektować wymagania moralności przyrodzonej, które zabraniają uważania i traktowania zwłok człowieka po prostu jako rzeczy lub jako trupa zwierzęcia.

Streścił i tłumaczył **W. Jel.**

*) por. ŻYCIE nr 46/386 z 14.11.1954.

1) Pierwsze dwa przemówienia podajemy w streszczeniu, trzecie w tłumaczeniu. — 2) i 3) streściliśmy wyżej.

ZE ŚWIATA KATOLICKIEGO

Kapłan w powieści. Ze względu na wielkie zainteresowanie się osobą księdza przez powieść opisarzy współczesnych, warto zwrócić uwagę na pracę, która ukazała się ostatnio u Desclée de Brouwer. Jezuita André Blanchet omawia w niej działalność Bernanosa, Grahama Greene'a, Coccioli'ego, Mauriaca i teologię kapłaństwa. Tytuł pracy: „Kapłan w powieści dzisiejszej“ („Le prêtre dans le roman d'aujourd'hui“).

Jeszcze o katedrach gotyckich. W kolekcji „Visages de l'Eglise“, wydawanej w Edit. du Centurion, 5, rue Bayard, Paris VIIIe, ukazała się praca Henryka Daniel-Ropsa „Comment on bâtissait les cathédrales“. W pracy tej jeszcze raz uwypuklona została ta tajemnica, którą sztuce ludzkiej nadaje charakter tak trwały, że nie są w stanie unicestwić go ani wieki ani zmiany smaku artystycznego. Kościoły gotyckie we Francji, tak podziwiane w czasach dzisiejszych, zawdzięczają swą wielkość artystyczną duchowi, który ożywiał architektów, rzeźbiarzy, mistrzów witrażu i zwykłych robotników t. j. duchowi głębokiej wiary. Duch głębokiego przeżycia religijnego, duch każdej głęboko przeżywanej idei zawsze zaznacza się w dziele twórczym i wybija na nim swe niezatarte piętno, które przemawia zarówno do znawców jak i do prostaczków.

O zabezpieczenie bytu klasztorów kontemplacyjnych. Niektóre z klasztorów kontemplacyjnych znalazły się w ciężkich warunkach bytowania. W zrozumieniu znaczenia modlitwy i cierpienia klauzurowych zakonnic dla dobra ludzkości, rozważane są we Włoszech i w innych krajach sposoby przyjścia im z pomocą materialną, by umożliwić im oddawanie się istotnym zadaniom ich życia w planach Kościoła: modlitwie i cierpieniu. Znany jest we Włoszech apel mons. Urbani'ego, asystenta generalnego Akcji Katolickiej Włoskiej, do parafialnych władz Akcji Katolickiej, ażeby w porozumieniu z proboszczami przewidziały zbieranie ofiar dla klasztorów klauzurowych. Mons. Urbani pisał wówczas: „Ora et labora. Mądra norma św. Benedykta nie zmierza do oddzielenia modlitwy od działalności, lecz do stwierdzenia ich wzajemnej konieczności. Działalność apostolska wie, że skuteczność swej pracy winna oprzeć na modlitwie i ofierze; modlący się wie, że jego oddanie się na ofiarę winno być złożone dla dobra wszystkich braci. Wynika z tego wzajemny obowiązek wspierania się, które ma za swe źródło miłość Boską i które ujawnia się w szlachetnym współzawodnictwie spieszenia z pomocą. Dopiero w niebie będzie wiadomo, ile zostało dane przez każdego: tutaj na ziemi jest miejsce na radość dawania w braterskim czynie z miłości dla Chrystusa. Dlatego Akcja Katolicka Włoska wzywa braci w wierze i apostolstwie do wdzięcznej ofiarności dla tych, co modlitwą i ofiarą wyjednują stale wszystkim światło i łaskę.“

NOWE KSIĄŻKI

DWA KSIĘŻYCE

Sztuka, a szczególnie piśmiennictwo stało się w naszej epoce środkiem działalności społecznej lub estetyczną odmianą praktycznego poznania, stacząjąc się coraz wyraźniej ku roli popularyzowania zagadnień społecznych i naukowych. Niepraktyczność, nieużytkowość sztuki jest dziś powszechnie tępiona jako herezja artystyczna. Taki rodzaj twórczości określa się jako formalizm lub przerafinowanie.

Nie ulega wątpliwości, że literatura piękna XX stulecia zeszła na manowce, próbując wyzwolić się całkowicie z ziemskiej grawitacji, poszybować jak Ikar w swobodę bez ograniczeń, podjąć loty w sferę pozaludzką. Los tych zamierzeń był taki sam jak los Ikara. Dzieł Ikarowych w piśmiennictwie starczyło na krótki zachwyt, na olśnienie swobodą, na oddech dumy. I na wzniesienie się na taką wysokość, aby spadłszy więcej się nie podnieść. Nie pozostało z tych urojeń nic poza złamanymi skrzydłami.

Zadaniem literatury nie jest bowiem ucieczka z ziemi, ucieczka od doli ludzkiej i od praw rządzących życiem. Wolność, to wcale nie ucieczka.

Ale też koniecznym warunkiem twórczości literackiej jest wolność wyboru własnych dróg. Sztuka jest bez wątpienia szczególną postacią poznania. Cóż robi rzeźbiarz lub muzyk? Wydobywa z materii — na swój artystyczny sposób — nieodkryte tajemnice i sprowadza je do pewnych form. Czyni to samo, co geolog słuchający drżeń ziemi i utrwalający je na instrumentach lub co fizyk zastawiający sidła na fale magnetyczne. Podobnie artysta, nie wymyśla, lecz szuka: podsłuchuje, podpatruje i sprowadza do pewnej formy. Wszyscy na tym świecie skazani jesteśmy na rzeczywistość.

Poszukiwać treści artystycznych można tylko z pełną swobodą wyboru dróg, bo taka jest istota każdego poszukiwania. Geolog nie tam znajduje złoża, gdzie mu kazano, lecz tam, gdzie one są rzeczywiście. Fizyk nie chwyci na swe soczewki promieni czerwonych z gwiazdy, która płonie błękitem.

Wyszło wznowienie książki Marii Kuncewiczowej „Dwa księżyce".*) Nowele te, to bynajmniej nie artystyczna ucieczka od życia: związane są mocno z czasem, z ziemią, a nawet z rzeczywistymi ludźmi. Poświata nadrzeczywistości mżąca w nich jest tylko kolorytem wyobraźni i wizji świata niektórych postaci. „Dwa księżyce" są artystyczną wyprawą badawczą w puszcze i pustynie duszy ludzkiej.

Nie każda wyprawa i nie każde badanie kończy się odkryciem; każde jednak posiada swoją historię. „Dwa księżyce" są wspaniałą podróżą, która chybiła głównego celu. Maria Kuncewiczowa ze swojego artystycznego światka wybrała się do Kazimierza nad Wisłą, pociągnięta pięknem jego starej architektury, ale głównie na poszukiwanie duszy miasteczkowej i chłopskiej. Przywiozła z tej podróży doskonałe portrety postaci z własnego światka i Kazimierz nie ten rzeczywisty, lecz taki, jakim go widzą stołeczni artyści. Cel wyprawy był inny, a zdobycze niezamierzone. Zetknięcie się świata artystów z ludowością Kazimierza nie przyniosło obrazu artystycznego dwu różnych biegunów, lecz pogłębiło, podcieniowało osobliwość jednego z nich.

Zamiarem autorki było ukazanie dwu światów, „dwu księżyców", które się spotykają w małym miasteczku: artystycznego i „wyrobniczo-sielskiego". W przedmowie do wznowionego wydania czytamy: „Wydało się autorce, że tylko przyziemny księżyc godzin wieczornych dostępny jest ludziom, których wszystkie dni są powszednie, a noce oddane wyłącznie spoczynkowi ciała, bo ich duch i we dnie spoczywa. Pod księżycem wysokim natomiast ujrzała o północy duchy niespokojne: fantastów, pierotów i kolombiny teatru urojeń, osoby, którym wolno spać w dzień, bo ktoś inny ponosi za nich trud powszedniości." Kilka zdań dalej w tejże samej przedmowie autorka przyznaje, że wbrew jej zamiarowi, dwa odmienne światy ludzkie zeszły się jednak pod jednym księżycem: „w świetle poezji i Boga". Ale i nie na tym polega niepowodzenie wyprawy nad Wisłę. „Księżyca przyziemnego" autorka naprawdę nie zobaczyła, przetrząsnęła tylko swoje o nim przesądy, wydobyła z pamięci marionetki tradycji literackiej, wyświechtane i wytarte. To nie są chłopi i mieszczanie polscy dwudziestego wieku, lecz bałwanki z ludowych jasełek, prymitywne kukły, bezduszne lalki, podobne do niezdarnych kogutków odpustowych z gliny, które tak bardzo przypadły do gustu ludziom wysokiego księżyca. Pisarka porywająca się na obraz starcia czy choćby tylko spotkaniu dwu światów, obydwa z nich winna znać na równi. A tymczasem stoi ona w środku jednego z nich, niezdolna do wyjścia poza jego krąg. Autorka „Dwu księżyców" jest tylko protagonistką swojego księżyca. Jej dzieło więc, to obraz jednostronny, spojrzenie oczyma jednej warstwy społecznej na ludzi z drugiej.

Nazbierała Kuncewiczowa mnóstwo pięknych muszelek na łachach wiślanych, podpatrzyła z niezrównanym artyzmem barwy, ruchy i gesty ludzi z Kazimierza, ale ich dusze zniekształciła tak samo, jak ich język. Piękną sandomierską gwarę, perłę w koronie polszczyzny, którą pisze m. in. wielki poeta Stanisław Młodożeniec, uformowała w jakieś cygańskie pomruki.

To prawda, że dwu księżycom niełatwo się było spotkać, skoro baby piorące bieliznę, opatulone pastuchy i kanciaści woźnice, służyli jednemu z nich tylko za zabawne modele, tym ciekawsze, im mniej przypominające ludzi. Jakże miały się porozumieć dwa światy, kiedy pustka duchowa cyganerii artystycznej wynosiła się w zenity nad ludzi, których duch rzekomo „spoczywa" we dnie i w nocy? Gdyby ten wysoki księżyc zmieszał się z tłumem na rynku w Kazimierzu i z pokorą przyjrzał się ich twarzom i ich sprawom, wówczas by może stracił pewność, czy to on czy ten drugi księżyc płynie wyżej po niebie.

Mówiąc prosto, „Dwa księżyce" są świadectwem egzotycznego spojrzenia na lud i przenikliwym obrazem dziwacznego środowiska cyganerii artystycznej. Żywe są też sylwetki postaci, które zmieszały się z ludem, szlacheckiego pochodzenia, „wysadzone z siodła", bliskie społecznie i duchowo autorce.

Ale przecież człowiek nie jest ulęgałką z różnych gatunków drzew, ani etykietką z taśmy maszynowej. „Dwa księżyce", chybione społecznie, są za to galerią wyraźnie zarysowanych jednostek, z patetyczną postacią ślepca Michała na czele. Zgubny społecznie estetyzm, jest jasną latarnią w labiryncie psychiki jednostkowej. To światło w głąb duszy jest siłą talentu Kuncewiczowej. Idąc tedy za nim, nietrudno dociec, że skarby myśli i uczuć spoczywają — niemal wbrew świadomości autorki — w duszach prostych, a pierotów i kolombiny, poza sztucznymi gestami, stać co najwyżej na błazeńskie fantazje. Finałem „Dwu księżyców" jest nowela „Kłamstwo", które w twarz rzuca artystom Iza, jedna z ich grona. Cóż jednak Iza może przeciwstawić zakłamaniu artystów? Czy racje rozumowe albo moralne? Nie, tylko komediancki, choć patetycznie przez autorkę potraktowany, protest zdarcia ze siebie sukni! To wszystko. Oto i miara wysokości lepszego księżyca.

O języku i stylu Kuncewiczowej nie ma się co rozwodzić: perły. W „Dwu księżycach" perły bez sznura. Szkatułka rozsypanych pereł.

Jan Bielatowicz

*) **Maria Kuncewiczowa DWA KSIĘŻYCE. Rysunki Tadeusza Terleckiego. Biblioteka Autorów Polskich. Księgarnia Polska Orbis. Londyn 1954.**

„Dwa księżyce" są pierwszym tomem nowopowstałej „Biblioteki Autorów Polskich", wydawanej przez Księgarnię Polską „Orbis" w Londynie. Książka wydana jest starannie. Format, okładka, obwoluta i sam pomysł serii powieściowej przypominają „Bibliotekę Polską" Katolickiego Ośrodka Wydawniczego „Veritas". Książkę złożyła polska drukarnia Montgomeryshire Printing Co. Tom zdobią miłe rysunki Tadeusza Terleckiego, niesharmonizowane należycie z treścią. Obwoluta i strona tytułowa za ciężkie. Korekta niedbała.

NOTATKI BIBLIOGRAFICZNE

Zagadnienia religijne

APOKRYFY NOWEGO TESTAMENTU. Wybrali i opracowali: Daniel-Rops i prof. F. Amiot. Z przekładu francuskiego przetłumaczyła Zofia Romanowiczowa. Wstęp do polskiego wydania napisał ks. prof. Kazimierz Borowicz. Tom V serii niebieskiej „Biblioteki Polskiej". Nakładem Kat. Ośr. Wyd. „Veritas". Za zezwoleniem władzy duchownej. Stron XXXII i 248. Okładka płócienna, obwoluta.

Suor Maria Tullia Doman C.S.S.F. MADRE MARIA ANGELA TRUSZKOWSKA, Fondatrice delle Suore Feliciane. Nel centenario delle Fondazione della Congregazione 1855 — 1955. Roma 1955. Za zezwoleniem władzy duchownej. Stron 32, portret Matki Truszkowskiej.

Publicystyka

FEDERALIZM A NIEPODLEGŁOŚĆ. Związek Polskich Federalistów w Stanach Zjednoczonych. New York 1954. Stron 8 i okł.

ZA KULISAMI BEZPIEKI I PARTII. Józef Światło ujawnia tajniki partii, reżymu i aparatu bezpieczeństwa. Stron 40. Bez miejsca i daty.

Broszura oparta na audycjach J. Światły, nadawanych przez Głos Wolnej Polski, rzucana obecnie nad Polską przez Komitet Wolnej Europy przy pomocy balonów.

Esseje

Wacław Lednicki ADAM MICKIEWICZ — Poland's Romantic Ambassador to the Court of Realism. Reprinted from „Three Columbia Bicentennial Lectures", December 1954. Polish Institute of Arts & Sciences in America (New York). Stron 20 i okł.

Wojciech Wasiutyński LISTY O LUDZIACH. Nakładem „Myśli Polskiej", Londyn 1955. Stron 196.

Poezja

Julian Dobrowolski CHŁOPSKI POEMAT. Polski Klub Literacki, Chicago 1954. Stron 52, okładka kartonowa z winietą Witolda Januszewskiego.

Tadeusz Kęsik CZAS ODKUPIONY. Wiersze. Rzym, Rok Maryjny 1954. Na prawach rękopisu, za zezwoleniem władzy duchownej. Stron 36.

Józef Łobodowski UCZTA ZADŻUMIONYCH. (Wiersze satyryczne). Nakładem subskrybentów i autora. Paryż 1954. Stron 184, duża ósemka. Okładka dwubarwna ilustr. proj. Witolda Januszewskiego, tegoż karykatura autora w tekście.

Beletrystyka

Czesław Miłosz ZDOBYCIE WŁADZY. (Powieść). Instytut Literacki, Biblioteka „Kultury" tom IX. Paryż 1955. Stron 160.

Henryk Rzewuski PAMIĄTKI IMCI PANA SEWERYNA SOPLICY, CZEŚNIKA PARNAWSKIEGO. Wstępem poprzedził prof. Stanisław Stroński. Tom XIV serii czerwonej „Biblioteki Polskiej". Nakładem Kat. Ośr. Wyd. „Veritas", Londyn (1955). Stron XXX i 292. Okładka płócienna, obwoluta dwubarwna ilustr.

Teatr

Wiesław Mirecki JAK WYSTAWIĆ „BETLEJEM POLSKIE" L. RYDLA? Materiały Instrukcyjno-Oświatowe Zarządu Gł. Stow. Polskich Kombatantów. Stron 8, fotoprint.

Sprawozdania

POLSKA AUDYCJA RADIOWA 1954. Polish Cultural Hour CFNS 1170 Saskatoon. Rocznik. Stron 40, liczne ilustracje, okładka barwna kartonowa.

REPORT OF THE CHAIRMAN OF THE COMMITTEE FOR THE EDUCATION OF POLES IN GT. BRITAIN with audited accounts for the year ended 31st March 1954. Stron 20.

SŁUŻBA ZDROWIA W POLSCE (1945 — 1954). Uwagi i spostrzeżenia. Nakładem Związku Lekarzy Polskich na Wychodźstwie. Londyn 1955. Stron 48.

Czasopisma, Kalendarze

ESTUDIOS SOBRE EL COMUNISMO. Revista Trimestral. Santiago de Chile. Ano II No. 5 Julio — Septiembre 1954, No. 6 Octubre — Diciembre 1954, Ano III No. 7 Enero — Marzo 1955.

KALENDARZ „LUDU" NA ROK 1955. Curitiba, Parana, 1955. Stron 192 i wkładka: kalendarz ścienny, ilustracje w tekście, okładka barwna ilustr.

POLONIA. Rivista Mensual Ilustrada. Madrid, Diciembre 1954. Redaccion y Administracion: Goya 6. Director: Julio Babecki. Stron 40, liczne ilustracje, druk dwubarwny.

Wydawnictwa naukowe

SACRUM POLONIAE MILLENIUM. Rozprawy — szkice — materiały historyczne. Tom I. Rzym 1954. Format 8×11¼ inch. Za pozwoleniem władzy duchownej. Typis Pontificiae Universitatis Gregorianae Romae. Stron 632.

Pierwszy tom pomnikowej serii posiada treść następującą:

Arcybp. Józef Gawlina: Słowo wstępne;

Leon Koczy: Chrzest Polski;

Oskar Halecki: Unia brzeska w świetle współczesnych świadectw greckich;

Etienne Duda: Le Saint-Siège devant les événements politiques de Pologne à la veille de son premier partage;

Edmund Elter T.J.: Adam Kochański T.J. najwybitniejszy przedstawiciel Polski na europejskim terenie naukowym u schyłku XVII wieku;

Eugeniusz Jarra: Twórczość prawna duchowieństwa polskiego (966 — 1800);

Ks. Zbigniew Szostkiewicz: Katalog biskupów obrządku łacińskiego przedrozbiorowej Polski;

Skorowidz nazwisk;

Lista ofiarodawców i prenumeratorów.

ZOFIA BOHDANOWICZOWA

KAMIONKA

Zaczęło się od tego, żeśmy otrzymali od księdza Franciszka fotografie: kościół kamioński w śniegu, znajomy ganek plebanii, gromada starych lip, krzaki i trawy i niebo nad oszmiańską ziemią. I odrazu odżyła nam w pamięci Kamionka taka, jaka była przed wojną.

Jechało się tam z Wilna na Turgiele lidzkim traktem. Były to lata 1935-38, według kalendarza, ale według serca to był romantyczny XIX wiek, lata wczesnej mickiewiczowskiej młodości. W Turgielach była karczma. „Karczma z przodu jak korab, z tyłu jak świątynia". Dach wyginał się cudacznie nad przybudówkami jak pokrzywiony, ozieleniały od pleśni kapelusz starego grzyba. Ściany zapadły w ziemię, kolumny ganku resztką zmurszałych sił podtrzymywały krzywą belkę stropu. Wewnątrz pachniało śledziami i piwem.

Karczma stała na skraju miasteczka i za nią już trakt, złoty od piasków, wrzynał się jak klinga między zielone pagórki i gaje brzozowe. Gdzieś na wysokości Małych Solecznik skręcało się na polne drogi. Kałamaszka jak łódź wpływała w zboża, sosny i piach. Kłosy dotykały kół, zwisłe gałęzie muskały głowę, konie szły stępa, przystawały przed wyboinami. Płynęło się powoli. Aż wreszcie zza jakiegoś wzgórza zjawiała się wieża kamiońska jak maszt okrętu. Nie była wyniosła. Miała w swej czworogrannej formie wyraz siły jak wieża twierdzy. I zaraz potem zaczynały się kapliczki przydrożne — powitalne uśmiechy Kamionki. Rzeźbione w potężnych pniach dębu, albo stojące na słupach sosnowych, strojne w mozolną rzeźbę przypominały piękne krzyże Żmudzi.

Kościół był drewniany, zbudowany niedawno na miejscu dawnego małego kościółka. Ów mały kościółek stał w Kamionce od początku XVIII wieku. W 1863 r. został przez władze rosyjskie zamknięty i przeznaczony na cerkiew. Już lada tydzień miał przyjechać pop. Wtedy gospodarze kamiońscy, Białorusini katolicy, wszyscy wspólnie rozebrali kościół i porąbawszy na części spalili w piecach. Na cmentarzu nie zostało ani śladu po kościele i po ogrodzeniu. Został jedynie olbrzymi kamień młyński w tym miejscu, gdzie było wejście do kościoła.

Nowy kościół, zbudowany na parę lat przed ostatnią wojną, był pięknym okazem architektury drewnianej. Ogrodzony był murem z kamieni polnych. Na tym murze wznosiły się krzyże z żelaza, każdy inny, każdy wyszperany i odrysowany z dawnych wzorów przez ks. Franciszka, a wykuty przez miejscowego kowala. Zawiłym bogactwem rysunku przypominały wielkie czarne monstrancje.

Wewnątrz kościoła był widoczny pęd ku naśladowaniu prastarych fundacji Sapieżyńskich, Radziwiłłowskich czy Pacowskich, oczywiście, w miarę skromnych możliwości. Nie było tam ani śladu tandety współczesnej, mającej udawać sztukę. Ks. Franciszkowi nie łatwo było dogodzić. Wolał mieć w kościele pustą ścianę niż karmelkowy oleodruk. Toteż wszystko, na co się tam patrzyło, było dziełem sztuki. Drzwi rzeźbione w krzyże, ujęte w koronkowej roboty zawiasy, chrzcielnica wykuta w polnym głazie w kształt olbrzymiego kwiatu, u stropu zabytkowy pająk ze srebrnymi orłami Rzplitej, krucyfiksy, lichtarze — arcydzieła snycerskie, antepedium wytkane z lnu na miejscowych warsztatach — jedyny tego rodzaju okaz współczesnej sztuki ludowej — podobnie jak lniana kapa z wytkaną Męką Pańską, w zakrystii dębowa szafa z intarsjami, w niej sapieżyńska monstrancja, nawet taśma u dzwonka to pas ze starego brokatu.

W głównym ołtarzu był olbrzymi obraz św. Teresy od Dzieciątka Jezus. Malowała go s. Franciszka Wierzbicka ze zgromadzenia panien bernardynek w Wilnie. Aniołki unoszące się naokoło Świętej — to potrety dzieci wileńskich, to mali Łokucijewscy, Oskierkowie, Meysztowicze. O popularności Kamionki niech świadczy fakt, że sprzedawane w Wilnie obrazki „św. Teresy Kamiońskiej" rozchodziły się w wielkich ilościach.

Co roku 3 października w dzień św. Teresy z Lisieux był w Kamionce odpust, po naszemu — fest. Zjeżdżali się księża i ludność z sąsiednich parafii i z Wilna. Droga przed kościołem pełna była wozów i bryczek. Powietrze pachniało dymem z polnych ognisk i dojrzałymi jabłkami. Łąki były brunatne, ścierniska pokryte szronem. Na przykościelnym cmentarzu bielały chustki kobiet, szumiały rozmowy i pieśni dziadów.

I dzwonił Franciszek Borgiasz, wielki dzwon kamioński. To była owa „pieśń nad pieśniami" tutejszej ziemi i ludzi. To był głos, który wyśpiewywał burze letnie i zawieje zimowe, szarugi jesienne i szept wiosennych wiatrów. W jego śpiżowe serce były wtopione radości i smutki kamiońskich ludzi, ich ranki, południa i wieczory, kiedy to stary Łuba dzwonił na Anioł Pański, ich niedziele, kiedy to od świtu śpiewali w kościele godzinki i różaniec, oczekując na Sumę. W dzwonie tym była też i otucha i uczucie bezpieczeństwa, boć nie kto inny tylko właśnie Franciszek Borgiasz potężnym głosem odpędzał skradające się do wsi wilki, że pierzchały podkurczywszy ogony, aż się śnieg za nimi kurzył. Szumny dzień odpustu też kończył się wieczornym głosem dzwonu. Zamykano kościół, pustoszała droga, gdzieniegdzie jeszcze skrzypiał odjeżdżający wóz. A nad Kamionką sypały się z nieba gwiazdy — złote i srebrne róże św. Teresy.

Obok kościoła stała świeżo zbudowana drewniana plebania. Jeszcze pachniała lasem. Nie była jeszcze zamieszkana i nie oswojone z ludźmi jej ściany potrzaskiwały wysychając i perliły się zastygającą żywicą. Była tam wielka ilość pokoi z belkowanymi stropami, ganki, drzwi, korytarze. Dom był pomyślany i jako mieszkanie plebana i jako lokal biblioteki ludowej i jako pomieszczenie na ochronkę dla dzieci, gdy matki pójdą pracować w pole.

Dalej za kościołem leżała wieś przy szerokiej, porządnie wybrukowanej drodze. Budynek szkoły i chaty gospodarzy były jakieś obszerniejsze i weselsze niż po innych wsiach okolicznych, przy nich starannie utrzymane sady i ogródki pełne kwiatów. Ludzie uśmiechnięci, rozmowni i rzadkim u nas obyczajem rozkochani w swoich lnianych płótnach: dziewczęta w płóciennych pięknie wyszywanych sukniach, chłopcy w ubraniach z płótna, szytych własnoręcznie.

Niedaleko od Kamionki w okolicy Turgiel leżało słynne w XVII wieku na całą Polskę Pawłowo Brzostowskich: wieś zwolniona od pańszczyzny, przebudowana, szczycąca się najnowszymi metodami gospodarki rolnej i hodowlanej oraz zamożnością i porządkiem. Rozbiory i powstania zniszczyły dzieło referendarza Brzostowskiego. Po blisko dwustu latach Kamionka poczęła wstępować w ślady Pawłowa. Oczywiście, jak we wszystkich zbiorowych poczynaniach, impuls pochodził od jednostki. (Przypomnijmy sobie działalność ks. Blizińskiego w Liskowie). Ks. Franciszek Tyczkowski z zamiłowania i wykształcenia archeolog i historyk sztuki, z zawodu kapelan wojskowy garnizonu wileńskiego zbudował i kościół i plebanię w Kamionce własną pracą i niemal własnymi środkami materialnymi, czyli gażą kapelańską. Pomoc społeczeństwa była minimalna, pomoc wsi polegała na zwózce materiału budowlanego, czasem na robociźnie. Budowanie trwało 10 lat. Nierzadko ks. Franciszek brał łopatę, czy siekierę i stawał samotnie do pracy.

W ostatnich latach przed wojną po uporaniu się z budowaniem rozpoczął ks. Franciszek pracę nad podniesieniem gospodarczego i kulturalnego stanu Kamionki. Wysyłał synów gospodarskich do szkół rolniczych, dla dziewcząt zakładał kursy gospodarstwa domowego, ogrodownictwa, mleczarstwa, hodowli drobiu, tkactwa, krawieczyzny i t.d. Niejednej z nich zdobyta na kursach wiedza pozwoliła przetrwać głodowe czasy wojenne. Instruktorki z Kamionki były wysyłane przez ks. Franciszka do okolicznych dworów i zasięg nauczania rósł stale, mimo niechętnego nieraz nastawienia okolicznych ziemian.

Szkoła kamiońska była oczkiem w głowie księdza. Stale zwoził z Wilna zakupywane lub wypraszane po ludziach pomoce szkolne. Przed samą wojną szkoła należała już do najlepiej wyposażonych szkół powszechnych. Gromadził też książki dla kamiońskiej biblioteki, przygotowywał sprzęt dla ochronki.

Gospodarze kamiońscy zrazu nieufni i węszący w tych inowacjach jakiś osobisty zysk księdza, powoli nabierali doń całkowitego zaufania i w końcu widzieli w nim opiekuna i przyjaciela.

Wojna położyła kres tej pracy. Ks. Franciszek powędrował tam, gdzie wędrowało tylu mieszkańców ziemi wileńskiej: do Rosji. Kamionka została spalona doszczętnie. Ocalał jedynie kościół i plebania, która dała schronienie pogorzelcom.

Dziś na plebanii mieszka komitet komunistyczny. Ale kościół stoi nienaruszony. Św. Teresa po dawnemu pochyla się nad ołtarzem. Od czasu do czasu przyjezdny ksiądz odprawi Mszę świętą.

A ks. Franciszek mieszka w Nowym Jorku, jest kapelanem w murzyńskim klasztorze franciszkanek. Czasem dostaje listy od rozproszonych po świecie ludzi z Kamionki. Każde słowo w tych listach jest dowodem pamięci, wdzięczności i nadziei na powrót.

Kamionka, która kiedyś łączyła tylu ludzi — miejscowych gospodarzy, okolicznych przyjaciół i sympatyków z Wilna, i dziś jeszcze przez rozbicie i tułaczkę świeci jak jednoczące ogniwo tym, co ją kochają i tęsknią do niej.

Zofia Bohdanowiczowa

Św. Teresa Kamiońska

Zostałaś pod lipami w dalekim kościele
Wśród aniołków, róż i obłoków...
W Twoje święto październik zwiędłym liściem się ściele,
Jak i dawniej co roku.

Deszcz gęsty ścieka z dachu na ściany chropawe
I zacina po sadach,
Z osmętniałej jabłoni na pożółkłą trawę
Ostatnie jabłko spada.

Na czarnej rzeczce grobla nieciosana i wąska,
Opróchniała po latach,
Nikt nie jedzie od Turgiel, Patronko Kamiońska,
Ani ze świata.

Zabity deską przejazd i zamknięty przewóz
Na krzywym moście...
Tylko, święta Tereso od Dzieciątka Jezus,
Tyś została i kościół.

Na opuszczonej ziemi przeciw nocy okrutnej
Dom pozostał i gospodyni,
Schodzi księżyc — stróż nocny — pod okna i pod wrótnie
W przykościelny dziedziniec.

Gwiazdy lecące dzwonią po przydrożnej brzózce
Pod wieżą czworogranną,
Żeby ci było raźniej w tym zamknięciu i pustce,
Karmelitańska Panno.

Nagim lipom z gałęzi świecące łzy zwisły,
Kapią na mur cmentarny,
Byś wiedziała, że nie sama opłakujesz swych bliskich,
Więzionych i umarłych.

Wiatr trącił suche zioła niedalekiej łąki
I zawiasę u bramy...
Nasłuchujesz, nasłuchujesz, Patronko Kamionki,
Czy nie wracamy...

POLSKA POEZJA BAROKOWA

Slawista belgijski prof. C. Backvis wygłosił 18 lutego w Szkole Nauk Słowiańskich (School of Slavic and East European Studies) odczyt o niektórych cechach polskiej poezji barokowej (Some Characteristics of Polish Baroque Poetry). Najwięcej uwagi poświęcił twórczości Szarzyńskiego, Twardowskiego i A. Morsztyna.

Prelegent uwypuklił odejście Szarzyńskiego od renesansowego zagadnienia stosunku człowieka do państwa na rzecz rozważania stosunku człowieka do Boga. Poezja Szarzyńskiego posiada znaczną wartość artystyczną, ale jest obojętna na zarysowujący się kryzys państwa polskiego. Szarzyński nie dostrzegał go jako człowiek, więc nie reagował nań Szarzyński-poeta.

Barok polski cechuje tak pesymizm jak i optymizm. Najokazalej prezentuje się w opisach stanów anormalnych i niezwykłych, jak szaleństwo, paniczny strach, zniszczenie. Erę baroku znamionuje tendencja do rejestrowania wrażeń wszystkich zmysłów, ale jednocześnie wiara nakazywała gardzić zmysłami, bo były one przeszkodą na drodze do zbawienia. Powstało w ten sposób rozdwojenie, rozterka, napięcie i wykrzywienie rzeczywistości. Jak i w innych krajach, po okresie ekskluzywnego renesansu, nastąpiła reakcja elementów popularnych i średniowiecznych. Mitologia i prostota stały się igraszką i ozdobą tylko. Równocześnie obrazowanie nabrało plastyczności, wielką rolę zaczął grać kolor, światło i przestrzeń. Powstawały obrazy impresjonistyczne, doceniono znaczenie rytmu.

Barok polski ponadto nie szczędzi pochwał wsi, pochwał opartych na nieprzerwanym związku z ziemią. Zmysłowość (Morsztyn) i fantazja (Twardowski) dziś jeszcze zdolne są przykuć uwagę czytelnika. Tę bogatą i ciekawą twórczość prof. Backvis nazwał „haftowanym płaszczem narzuconym na rozkładające się państwo".

Prelegent nie szczędził słów uznania dla literatury polskiej. Barok polski ocenił bardzo wysoko i przyrównał do literatury angielskiej siedemnastego wieku. Miłe to były słowa i za nie winniśmy prof. Backvisowi wdzięczność.

Nie mniej nasuwa się pytanie, czy nie należało uwzględnić najmocniejszej pozycji literackiej baroku, literatury hiszpańskiej, skoro zachodziła potrzeba zestawienia baroku polskiego z innymi literaturami europejskimi. Ponadto widzę pewne niebezpieczeństwo w opieraniu się na „Nadobnej Paskwalinie" a nawet na Morsztynie i Szarzyńskim. Źródeł ich utworów jeszcze dostatecznie nie znamy. Dlatego nie zawadzi ostrożność w ocenianiu walorów innych niż językowe, bo inaczej przyszłe badania mogą różne sprawić niespodzianki.

F. Ś.

ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

NIEDZIELA, 20 marca 1955r.

NASZE SPRAWY

WIELKI POST

Anglicy nie znają pojęcia karnawału. Ale polski karnawał kwitnie na tej wyspie co roku w całej pełni: między Bożym Narodzeniem a Popielcem pełno było polskich zabaw i balów, zarówno w Londynie, jak i na prowincji. Poczta, nie powiem, żeby co dzień, ale bez wszelkiej wątpliwości w każdym tygodniu przynosiła mi zaproszenia — które zresztą w moim wypadku nieodmiennie wędrowały do kosza, bo po pierwsze, nie mam fraka, ani smokinga (te, które miałem, spaliły się przed laty w Warszawie), a po wtóre, nie mam pieniędzy, po trzecie, nie mam czasu, a po czwarte, nie mam właściwie także i ochoty.

Ale od Popielca — napływ zaproszeń się urwał. Skończył się polski karnawał na tej wyspie. Zaczął się Wielki Post, a w Wielkim Poście Polacy, po wyjątkami, nie tańczą.

To dobrze! Wprawdzie zakaz tańczenia w poście (dotyczy to także i Adwentu) w Kościele katolickim na tej wyspie nie obowiązuje, toteż ten, kto tańczy, nie wykracza przeciwko przepisom kościelnym, a więc nie popełnia grzechu. Ale bez wszelkiej wątpliwości — Polakom tańczyć w Wielkim Poście i w Adwencie nie wypada.

Po pierwsze, ściśle zakazy i nakazy kościelne określają tylko minimum tego, czego Kościół od nas żąda. Dobrzy katolicy nie ograniczają się do tego minimum właściwie w żadnej dziedzinie. Na przykład Komunia święta jest ściśle nakazana tylko raz do roku około Wielkanocy, ale przecież nie tylko szczególnie gorliwy, lecz po prostu przeciętny katolik przystępuje do Komunii świętej dużo częściej. Tak samo bywamy w kościele nie tylko na niedzielnej i świątecznej Mszy. I modlimy się nie tylko przy rannym i wieczornym pacierzu.

Przepisy wielkopostne są dziś tak złagodzone, że zaostrzenie ich umartwieniami dobrowolnymi jest właściwie obowiązkiem — bo bez tego w ogóle nie poczulibyśmy, że to Wielki Post. Przepisy te przeznaczone są dla całego Kościoła, to znaczy także dla krajów głodnych, oraz dla krajów, w których wiara jest uciskana. Ale my tu w Anglii korzystamy z ułatwień właściwie niezasłużenie, bo ani nie jesteśmy głodni, ani nie musimy, stosując się do praktyk katolickich, przełamywać jakichkolwiek trudności. Jest więc rzeczą na miejscu, byśmy nałożyli na siebie w Poście jakieś dodatkowe, dobrowolne rygory, czy to żywnościowe, czy też takie, jak powstrzymanie się od zabaw tanecznych.

A po wtóre, powstrzymania się od tych zabaw wymaga od nas nasza polska tradycja. Jesteśmy nie tylko katolikami, jesteśmy też i Polakami. Choć formalnie podlegamy jako katolicy przepisom, obowiązującym katolików na tej wyspie, nie przestaliśmy być złączeni duchem z Kościołem w Polsce, którego cząstką się nadal czujemy. A w Polsce — w Wielkim Poście i w Adwencie katolikom tańczyć nie wolno. Nie wypada nam robić tego, czego rodakom naszym Kościół w Polsce robić nie pozwala. Nie wypada nam także robić tego, czego od pokoleń nigdy w Polsce nie robiono, a więc co weszło naszemu narodowi w krew jako odwieczna tradycja. W szczególności, byłoby wysoce nie na miejscu gdybyśmy nie nauczyli przyjętego w Polsce obyczaju i nie wdrożyli do stosowania się do niego naszej młodej generacji, która przecież ma kiedyś do Polski powrócić.

Mówiąc o sposobie obchodzenia przez nas Wielkiego Postu, trzeba jednak powiedzieć i o innej rzeczy.

Zaostrzenie postu dodatkowymi wyrzeczeniami jest rzeczą dobrą. Ale musi ono być poprzedzone ścisłym stosowaniem się do tego, co jest nakazane.

Są ludzie, którzy w Wielki Piątek robią sobie umartwienia w postaci postu zupełnego, to znaczy nie biorą do ust w ogóle nic. Ale równocześnie nie przestrzegają postu w piątki zwykłe, poza Wielkim Postem. Taki system postów, rzecz prosta nie ma nic wspólnego z prawowiernością katolicką. Bo post, to nie jest wynik kaprysu, ale prawo ustanowione przez Kościół. Przepisy kościelne mogą być inne w tym roku, a inne w następnym, inne w tym kraju, a inne w sąsiednim: jest prawem władz kościelnych ustanawiać takie przepisy, jakie uznają za stosowne. Otóż obowiązkiem naszym jest się do tych przepisów stosować. Możemy je zaostrzać — ale nie możemy ich przeinaczać i łamać.

Jesteśmy nieraz, my Polacy, zbyt skłonni do lekceważenia sobie litery przepisów kościelnych. Co najmniej — robimy to przez ignorancję, przez niedbanie o zapoznanie się dokładnie z tym, co wiedzieć powinniśmy. Nieraz — jest to coś więcej, to niechęć do ścisłego stosowania się do wymagań Kościoła w sposób ścisły.

Nakazy co do postów są dzisiaj, tu w Anglii, bardzo pobłażliwe. Ale trzeba je ściśle stosować.

Na czym one polegają?

Przez cały rok, we wszystkie piątki z wyjątkiem tych, które wypadają w wielkie święto, lub objęte są jakąś dyspensą, obowiązuje post od mięsa. A ponadto, przez cztery dni w roku: w Popielec, w Wielki Piątek, w wigilię Matki Boskiej Zielnej (14 sierpnia) i w wigilię Bożego Narodzenia obowiązuje zarówno post od mięsa, jak post co do ilości. W dni te można zjeść tylko jeden posiłek „do sytości" (a więc obiad, lub obfitą kolację, np. wieczerzę wigilijną) i tylko dwa ponadto posiłki lekkie.

Jest zresztą od tych postów wiele ulg; np. dla małoletnich, dla starców, dla kobiet brzemiennych.

Uderzmy się w piersi: czy wszyscy stosujemy się do tych przepisów w sposób ścisły?

POLONUS

KOŚCIÓŁ ANGLIKAŃSKI W OBLICZU KRYZYSU

„Catholic Herald" z 21 stycznia br. informuje o dotkliwym braku kleru, odczuwanym przez kościół anglikański. Przed 50 laty, gdy ludność Anglii wynosiła 34 miliony, liczba pastorów sięgała 19.000; dziś jest ich zaledwie 14.000 na 44 miliony ludności. Corocznie brak 600 — 700 duchownych do normalnego obsadzenia parafij.

Proces zmniejszania się liczby kandydatów na urzędy duchowne w kościele anglikańskim zaczął się przed z górą pół wiekiem i od tej pory stale postępuje. W latach 1850 — 1890 przeciętna liczba święceń duchownych wynosiła 850; uważano wówczas, że jest ich wiele. Po roku 1890 liczba ta wszakże zaczęła spadać, po latach dziesięciu wynosiła już tylko 750. Począwszy od r. 1930 nie osiągnęła ona ani razu 600, szczególnie niska była w czasie wojny i w bezpośrednim okresie powojennym (158 w r. 1946). Rok 1952 był okresem przejściowego zahamowania spadku: w roku tym wyświęcono 479 pastorów, lecz w r. 1954 zaledwie 380, a na rok 1955 przewiduje się 365.

Skutki praktyczne tego spadku święceń duchownych wyrażają się w nieobsadzeniu wielu parafij bądź w ich nadmiernej rozległości. Parafie liczące 10 do 20 tysięcy osób, administrowane niegdyś przez 6 pastorów, mają obecnie tylko jednego. Zdarza się też, że jeden pastor ma w swym zarządzie 3 - 4 parafie, co oczywiście nie pozwala mu na normalne wykonywanie obowiązków swego urzędu. W małych parafiach nabożeństwa odprawiają laicy.

Innym skutkiem braku kleru jest zamykanie kościołów anglikańskich, bądź nawet odstępowanie ich katolikom. Co tydzień zamyka się kościoły, diecezja katolicka w Leeds nabyła w ten sposób już 5. Przewiduje się, że w ciągu najbliższych 25 lat setki a może nawet tysiące kościołów niekatolickich będzie nieczynnych.

Malejąca liczba duchownych jest odpowiednikiem zmniejszania się liczby wiernych. Wpływy kościoła anglikańskiego słabną, kościół ten stoi w obliczu kryzysu.

Pouczające jest zestawienie tego kryzysu kościoła anglikańskiego z sytuacją kościoła katolickiego w Anglii. Na 20.000 parafij anglikańskich przypada 14.000 pastorów; 2.000 parafij katolickich dysponuje 7.000 kapłanów. Hierarchia anglikańska przypisuje niechęć do przyjmowania święceń kapłańskich atrakcyjności zawodów świeckich, nęcących młodzież obietnicą dobrych zarobków i kariery, czynnik ten wszakże nie odgrywa roli w kościele katolickim, gdzie liczba kandydatów przewyższa coroczne liczbę wolnych miejsc. A jednak wymagania do objęcia urzędu pastora są znacznie mniejsze. Klerycy katoliccy odbywają długie studia w seminariach duchownych, jedyną natomiast kwalifikacją na urząd pastora jest, według niejasnego tekstu „Prayer Book", znajomość łaciny i dostateczna biegłość w Piśmie Świętym.

Teoretycznie, kandydat na pastora musi spędzić trzy lata na uniwersytecie, z czego dwa poświęcone studiom teologicznym, lecz liczba tak wykształconych pastorów wynosi obecnie tylko 650. Istnieją dwa kolegia anglikańskie, jedno, Kelham College, koło Newark, drugie w Brasted Place (Kent), lecz przyjmują one do studiów przygotowawczych tylko ograniczone liczby kandydatów; seminariów na wzór katolicki kościół anglikański nie zna. Po ostatniej wojnie wyświęcano pastorów już po kilkumiesięcznym przygotowaniu.

Od r. 1945 kwalifikowanie kandydatów jest w rękach komisji, złożonych zazwyczaj z 3 lub 4 duchownych i jednego laika. W roku 1953 komisje te przeegzaminowały 768 kandydatów, z czego zakwalifikowały 368 a ponadto kilku warunkowo. Częste jest zawieranie małżeństw przez przyszłych pastorów w czasie odbywania studiów teologicznych lub nawet przed tym.

Nie lepiej wygląda sytuacja protestanckich kościołów nonkonformistycznych. W ostatnim ćwierćwieczu jedynie metodyści zwiększyli liczbę swych duchownych z 4.389 do 4.643, ale i ta liczba oznacza jednego kaznodzieję na trzy parafie, w parafiach nie obsadzonych funkcje kaznodziei pełnią laicy. Maleją wpływy kongregacjonalistów i baptystów; liczba duchownych tej pierwszej sekty, wynosząca w r. 1930 2.650, spadła do 2.366, zaś liczba wyznawców z 452.000 do 344.000. Baptyści w okresie ostatnich lat 25 wykazują ubytek 200 duchownych, mają ich obecnie 1.900, przy czym tendencja spadkowa trwa. Sekta ta od r. 1930 zamknęła 212 swych świątyń, a liczba jej wyznawców zmalała w tym samym czasie z 406.000 do 328.000.

Prezbyterianie mają 372 pastorów, unitariusze 227, morawianie 39. W Szkocji, gdzie kościół prezbiteriański jest kościołem państwowym, liczba pastorów wynosi 2.149.

Według obliczeń „Catholic Herald", Anglia średniowieczna, podówczas katolicka, miała dwukrotnie więcej duchownych niż dzisiejsza Anglia protestancka. Lecz Anglia średniowieczna liczyła około miliona mieszkańców. Co się stanie za lat pięćdziesiąt? W tym samym, kryzysowym dla protestantyzmu dwudziestopięcioleciu, liczba kapłanów katolickich wzrosła z 4.000 do 7.000. Kościołów katolickich przybywa i w dni nabożeństw wszystkie są pełne, czasem przepełnione. Świątynie protestanckie świecą pustkami.

Wpływy kościoła katolickiego rosną, innych kościołów słabną. Nie jest to zjawisko odosobnione, specyficznie angielskie, jest ono znamieniem czasu. Wyraża się w nim nietrwałość rzeczy ludzkich w zestawieniu z wiecznością rzeczy Boskich. Człowiek współczesny, targany niepewnością jutra, stojący wobec widma apokaliptycznej zagłady zapowiadanej przez śmiercionośne wynalazki, szuka mistycznego schronu pod arkadami świątyń, którymi nie zdołały zachwiać nawałnice historii. Nie zadawala go liberalizm ideologiczny protestantyzmu; błądząc po rozłogach zmąconego świata, szuka, w dobie upadku autorytetów, autorytetu wyższego rzędu i kierownictwa, któremu mógłby zaufać. Cóż dziwnego, że kierownictwo to, nie znające wahań ani zboczeń z drogi, wytkniętej przed dwoma tysiącami lat, znajduje właśnie w instytucji Kościoła? Jest w tym instynktowna potrzeba trwałego oparcia, przełamująca sceptycyzm, obojętność, agnostycyzm, zwątpienie.

Ze Wschodu idzie na świat propaganda materialistycznej pseudoreligii, narzędzia zaborczego imperializmu, jednającej sobie zwolenników przemocą. Protestantyzm nie potrafił jej stawić skutecznego oporu. Kancelarie dyplomatyczne szukają kompromisu z maniakami władzy. Kościół przeciwstawił im barierę swego władztwa nad duszami ludzi, budząc nadzieję i ufność przetrwania. Bo o nim wszak powiedziano, że „bramy piekielne go nie zwyciężą".

L. K.

KRONIKA

POLAK PROFESOREM UNIWERSYTETU LATERAŃSKIEGO



Na niedawno utworzoną katedrę metodologii teologii na Uniwersytecie Laterańskim w Rzymie powołano Polaka, ks. prałata dra Franciszka Lorenca, powierzając mu zarazem obowiązki profesora asystenta, dziekana wydziału teologii i prowadzenie ćwiczeń z zakresu teologii moralnej.

Nominacja ta zasługuje tym bardziej na uwagę, że ks. prof. Lorenc, b. kapelan W. P. i duszpasterz polski w Glasgowie, dopiero w r. 1948 wyjechał na studia do Rzymu, gdzie w r. 1952 otrzymał doktorat obojga praw a w r. 1954 doktorat teologii. Zaszczytną nominację otrzymał ks. prof. Lorenc w roku swego srebrnego jubileuszu kapłańskiego.

Czcigodnemu Księdzu Profesorowi przesyłamy tą drogą nasze serdeczne życzenia owocnej pracy Bożej w służbie Prawdzie i ku chwale imienia polskiego.



KU REALIZACJI NOWYCH ZADAŃ

Po śmierci ks. kanonika Wiktora Judyckiego, duszpastertwo polskie przy kościele w Brompton Oratory objął od 1 marca 1955 roku ks. mgr Kazimierz Sołowiej, Sekretarz Generalny Polskiej Misji Katolickiej w Londynie.

Wikariusz Delegat dla Polaków w Anglii i Walii, ks. prałat W. Staniszewski, powierzając ks. mgrowi Sołowiejowi ten ważny odcinek pracy duszpasterskiej w śródmieściu Londynu — oprócz wielu obowiązków z tą nominacją związanych — zlecił nowemu duszpasterzowi zadanie specjalnej wagi, a mianowicie realizację dążenia polskich władz kościelnych, aby Polacy zamieszkali w centrum Londynu, mogli tu mieć jak najrychlej swój własny polski kościół i polską przy nim parafię.

NAGRODA LITERACKA Klubu Polskiego w Buenos Aires Z OKAZJI 15-LECIA ISTNIENIA

Klub Polski ustanawia nagrodę w wysokości 2.000 (dwóch tysięcy) pesos za pracę literacką dotychczas nie opublikowaną. Maszynopisy nie przekraczające 300 stron znormalizowanego formatu należy nadsyłać do Sekretariatu Klubu Polskiego (calle Balcarce 621 Capital Federal, Rep. Argentina) do dnia 15 września 1955 r. Maszynopisy winny być zaopatrzone godłem, przy czym należy załączyć zamkniętą kopertę zawierającą nazwisko i adres autora.

Praca może stanowić część większej całości.

Skład jury: mgr Waleria Fuksa, red. Roman Dąbrowski, red. Cezary Gołkowski, dr Janusz Łaszewski i Karol Świeczewski.

PO ŁEPKACH

GDZIE POLAK, TAM GAZETA

W skarbnicy przypowiastek o naszym charakterze narodowym i historycznych wyczynach posiadamy niemałą kolekcję absurdów i ośmieszających przysłów, uważanych przez nas za bardzo dobre monety. Na przykład: „Polacy nie gęsi, też swój język mają", „Nie masz pana nad ułana", „W Polsce jak kto chce", „Może Polak nie wiedzieć co morze, gdy pilnie orze", „Mierz siły na zamiary, nie zamiar podług sił". Itp. Plonem ostatniej wojny jest jeszcze jedno podobnej wartości przysłowie: „Gdzie Polak, tam gazeta".

Ukuł je brytyjski minister informacji Branden Bracken, znudzony domaganiem się przez Polaków przydziałów papieru na coraz to nowe czasopisma. W uszach Anglików sentencja ministra brzmiała satyrycznie, myśmy z niej wyciągnęli tytuł do dumy. Że niby tacyśmy kulturalni, uduchowieni, uświadomieni.

Przez kilka miesięcy po pogromie wrześniowym wystarczyło nam jedno pismo na każdym z terenów skupienia emigracji: na Węgrzech były to „Wieści Polskie", w Rumunii „Tygodnik Polski", we Francji „Głos Polski", w Palestynie „Gazeta Polska". Ale wkrótce jedno pismo przestało wystarczać. Partie polityczne zaczęły wydawać swoje organy, grupy literackie swoje, oddziały wojskowe swoje, kadeci swoje, ochotniczki swoje, inwalidzi swoje, federaliści swoje, międzymorzanie swoje, rolnicy swoje, metalowcy swoje. W poszczególnych obozach powstawały gazetki ścienne, biuletyny, komunikaty. Pisano je ręcznie, na maszynach bez polskich czcionek, na hektografie, roneo, malowano ręcznie, wystrzygano z innych pism, klejono, farbowano, śliniono. Zanosiło się na to, że słowa Roty: „twierdzą nam będzie każdy próg" trzeba będzie zmienić na: „redakcją nam będzie każdy próg".

Czy rzeczywiście pisma te, a raczej w ogromnej większości karykatury pism, wynikały z potrzeby duchowej? Na to pytanie odpowiedź może dać pobieżna lektura ich treści. Dobrze, jeśli były to tylko powielane wiadomości radiowe i agencyjne. Ale rzetelną informację redaktorzy uważali za rzecz drugorzędną. Istotą zabawy w prasę była twórczość własna. Któż nie zna owych melodii patriotycznych, granych na szczerbatym grzebieniu, owych wierszyków o tęsknocie, powrocie i zemście, działających jak lukrecja z kwaśnym mlekiem, owych rysunków żołnierzyka, któremu orzeł biały jada z ręki, alegorii zakutej w kajdany Polonii z koroną na głowie i z rozwianym pod nią włosem, kleksów na nosach sylwetek dowódców, którym z oczu patrzy stalowo, przedruków Asnyka, Słońskiego, Żuławskiego („Synkowie moi, poszedłem w bój") wilii u Borynów, Ody do młodości, Alarmu Słonimskiego i złotych myśli Paderewskiego?

Czy rzeczywiście ten wylew grafomanii i patriotycznej melasy wynikał z potrzeby duchowej szarych mas? Bynajmniej! Był to wyłącznie triumf półinteligentów, tęskniących do odegrania ról pisarzy, redaktorów, poetów i publicystów, a także ucztą rozkoszy dla ambitnych dowódców, kierowników, przewodników, delegatów, prezesów i komendantów.

Niestety, gazetki ścienne i biuletyny znajdowały i nadal znajdują poklask wśród rzeczywistych działaczy kulturalnych. Parę lat temu Instytut Historyczny im. Gen. Sikorskiego uraczył nas wystawą takiego właśnie śmiecia, a w prasie raz po raz czyta się pochwały nadal szalejącej produkcji gazetek wartowniczych, kombatanckich, oddziałowych, hostelowych. Dziś na emigracji wychodzi, lekko licząc, ze trzy setki najdziwaczniejszych piśmideł i piśmidełek.

Istnieją, rzecz jasna, społeczności, zwłaszcza zawodowe, których biuletyny wewnętrzne czy periodyki fachowe są najzupełniej usprawiedliwione. Trudno się dziwić biutetynowi związku właścicieli nieruchomości, gdzie sobie kamienicznicy komunikują nawzajem ceny domów w Londynie, albo gazetce związku rolników, zajmującej się problematyką pasz suchych, albo organowi filatelistów, czy zbieraczy grzybów. Dla takich zagadnień nie ma zbyt wiele miejsca w pismach ogólnych, ich miłośnicy więc muszą gdzieś znaleźć ujście dla swych sentymentów i potrzeb praktycznych.

Natomiast przeraźliwym głupstwem jest czasopismo wartowników w Niebyłowie, roztrząsające rolę powstania styczniowego lub malujące żywot Marii Curie-Skłodowskiej z portretem uczonej naturalnej wielkości; wierutnym nonsensem jest organ Koła SPK nr 999, omawiający kryzys prezydencki z punktu widzenia tegoż Koła, i miesięcznik inwalidów, przynoszący sprawozdanie z narciarskich mistrzostw świata; ponurą farsą jest biuletyn Beskidziaków snujący wizję upadku cywilizacji zachodniej.

Dość tego! Niechże ambitni redaktorzy dowiedzą się nareszcie, że swym śmieciem nie szerzą kultury, ale jej szkodzą.

Pisemkami ściennymi, powielanymi, fotografowanymi, a nawet drukowanymi szerzą prymitywizm myślenia i zły smak czytelniczy, zaśmiecają pamięć i wyobraźnię banałem, frazesem i pustosłowiem.

Podkopują zaufanie do powagi słowa drukowanego i odwracają uwagę od pism wartościowych przeszkadzając ich rozwojowi.

Pobudzają niezdrowe ambicje pół i ćwierćinteligentów oraz grafomanów.

Rzemiosło dziennikarskie jest tak samo trudne, jak każde inne i dobre chęci nie starczą, aby się imać pióra i zażywać nektaru dla nasycenia zawiedzionych rojeń niewydarzonych myślicieli i poetów.

„Littera docet, littera nocet" („pismo uczy, pismo szkodzi") — głosi łacińskie przysłowie. Zaś naszym maniakom od gazetek wydaje się, że każdy druczek szerzy kulturę. Nie, nie szerzy. Raczej zabija. Toteż przysłowie: „gdzie Polak, tam gazeta" nie jest żadną pochwałą, przeciwnie, złośliwą obelgą. Szkoda, żeśmy na nie zasłużyli. Podwójna szkoda, że chcemy na nie nadal zasługiwać.

J. B.

Ż Y C I E Katolicki Tygodnik Religijno - Kulturalny. Wydaje Veritas Foundation Publication Centre. Adres Redakcji i Administracji: Polish Weekly ŻYCIE, 12, Praed Mews, London, W.2. England. Telefony: Redakcja: i Administracja: AMBassador 6879. Drukarnia: PADdington 9734. Godziny przyjęć w Redakcji: codziennie, z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt, tylko od godziny 3.30 do 4.30 po poł. Administracja czynna codziennie od godz. 9 do 12 i od 14 do 17 z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt. Redakcja rękopisów nie zwraca. W wyjątkowych wypadkach, na ewentualny zastrzeżony zwrot, prosimy dołączyć znaczki pocztowe. P R E N U M E R A T A płatna z góry i wynosi miesięcznie 4 szyl. 6d., kwartalnie 13 szyl., półrocznie 26 szyl. WPŁATY a) **w krajach bloku szterlingowego**: Postal albo Money Orderami lub czekami bankowymi „crossed" (//); b) **w krajach bloku dolarowego**: International Money Orderami lub zwykłym czekiem jakiegokolwiek banku amerykańskiego; c) **we wszystkich innych krajach**: do miejscowego przedstawiciela naszego pisma sposobem przyjętym w danym kraju lub międzynarodowym przekazem pocztowym. C E N Y O G Ł O S Z E Ń: 1 cal przez 1 łam — £ 1.0.0. w tekście — 50% drożej, na stronie tytułowej — 100% drożej. P R Z E D S T A W I C I E L S T W A i CENA PRENUMERATY W RÓŻNYCH KRAJACH: ARGENTYNA: Przedstawiciel — **„Libreria Polaca"**, Serrano 2076, Buenos Aires. AUSTRALIA: Przedstawiciele: **„Vistula" (Australia) Pty.** 77, Pitt Street, Sydney oraz **„Społem"**, 85 Wattle Avenue, Royal Park, Adelaide, S. A. BELGIA: Przedstawiciel — **E. Kulałkowska**, 101, Rue Auguste Lambiotte, Bruxelles. Prenumerata kwart. 90 frs. BRAZYLIA: Przedstawiciel — **Z. Kietlińska**, Av. Batel 1514, Curitiba, Parana oraz **Rev W. Słapa**, Rua Marques de Abrantes 215, Rio de Janeiro. FRANCJA: Przedstawiciel Generalny — **„Libella" Librairie**, 12, Rue St. Louis-en-l'Ile, Paris IV. Prenumerata kwart. 540 frs. HOLANDIA: Przedstawiciel — **B. Galas**, Fagelstraat 15A, Breda. KANADA: Przedstawiciele — **Canadian Mosaic Publishers**, Suite 1, 4118, Western Ave., Montreal 6, **International Book Service**, 57, Queen Str. W., Toronto i **„Radegast"**, 570, Aberdeen Ave., Winnipeg, Man. Prenumerata kwartalna $ 2.00. NIEMCY: Przedstawiciele: **S. Mikiciuk**, Gablonzerstrasse 7/I, (13 b) München 13, o r a z **„Informacja Prasowa"**, Posfach 86 (23) Quakenbrück. Prenumerata kwartalna 8 RM. NORWEGIA: Przedstawiciel: **B. Łubiński**, Fagerturveien 14, Bestun ved Oslo. STANY ZJEDNOCZONE: Przedstawiciele: **„Gryf Publications"**, 615, Henry Street, Utica N.Y. oraz **M. Kijowski**, 13171, McDougall, Detroit 12, Mich., oraz **J. Stojanowska**, 424, Ave „E", Bayonne, N. Jersey oraz **„Pomoc" — Eksport Import**, 761, Fillmore Ave., Buffalo 12, N.Y. Prenumerata kwart. $ 2.00. SZWAJCARIA: **Mgr A. Bocheński**, Case Postale 19, Fribourg 2. Prenumerata kwartalna 5.00 frs. SZWECJA. Przedstawiciel: **Mgr B. Kurowski**, Lund, Revingegatan 13 B. Prenumerata kwartalna 10 kr. WŁOCHY: Przedstawiciel: **Mme Z. Bulhak-Jelska**, via Salaria 300 C, Roma.

W sprawach PRENUMERATY i OGŁOSZEŃ prosimy porozumiewać się z przedstawicielami.

d by: Veritas Foundation Press, 12, Praed Mews, London, W.2. Tel.: PADdington 9734